z miłości do miasta

MAGAZYN TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY „WINNICA” | IV – XI 2026 | NR 19

na WINNICY

ISSN 2544–2880

fot. Paweł Janczaruk

„Chłopiec ze źrebięciem” stoi na schodach prowadzących z ul. Wrocławskiej na szczyt Winnego Wzgórza. W tym miejscu stoi od 1962 roku. Wcześniej stał w parku Gwardii przy Strzeleckiej. A jeszcze wcześniej na placu apelowym jednostki wojskowej 2597 przy ulicy Piastów w Krośnie Odrzańskim. Jego historia zaczęła się w Berlinie w 1936 r., gdy Międzynarodowy Komitet Olimpijski ogłosił konkurs artystyczny. Wziął w nim udział rzeźbiarz Hans Krűckeberg (1878-1952). W czasach, kiedy w Niemczech obowiązywał kierunek przez krytyków sztuki nazywany narodowosocjalistycznym, ten artysta tworzył popiersia, posągi, płaskorzeźby, figury parkowe, postacie zwierząt w stylu neoklasycystycznym. Jedni Berlińczycy widzieli w „Chłopcu ze źrebięciem” odlane w brązie postacie wyrażające wręcz niemożliwy do okiełznania żywioł. Drudzy tylko arkadyjską młodość. Zwiedzający wystawę podziwiali niezwykle harmonijną, wręcz klasyczną sylwetkę. Dla wojskowych chłopiec stał się wzorcem niemieckiego młodzieńca. Po zakończeniu igrzysk rzeźba została przeniesiona do koszar Wehrmachtu w Crossen an der Oder (Krosno Odrzańskie), gdzie służył starszy syn Krűckeberga. W 1945 r. koszary przejęło wojsko polskie. Trzy lata później, kiedy podczas Winobrania w Zielonej Górze odbywał się turniej bokserski, rzeźba została wypożyczona do parku Gwardii. W 1961 r. do domku winiarskiego na Winnym Wzgórzu dobudowano szklarnię i wstawiono palmy. Powstała reprezentacyjna kawiarnia i restauracja Palmiarnia. Wtedy też na zachodnie zbocze wzgórza przeniesiono rzeźbę. Wiele lat później Krośnianie domagali się zwrotu „Chłopca ze źrebięciem” lub wykonania kopii. Gospodarze Zielonej Góry nie odpowiedzieli na oczekiwania Krośnian.

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY WINNICA

WOSiR drzonków

fot. Archiwum WOSIR Drzonków

W NUMERZE:

Od redakcji
- WOSiR Drzonków 2
- Stadion im. Edwarda Czernika 3

Nad Złotą Łączą
- Szalony pomysł Zbigniewa Majewskiego 4-5
- Od piłkarskiego RKS Wagmo do KS Lechia 6-7
- Gwardia strzelców 8
- Pierwsze ćwierć wieku na ringu bokserskim 9-11
- Bieganie dla zdrowia i przyjemności 12
- Nasze gwiazdy sportu 13-16
- 12 Konkurs literacki 16

Proza i poezja
- Miasto misiów 17-20
- Z cyklu „Czarownice z Grünbergu" 21
- Fraszkami utkane 21

Ponad słowami
- Podróż po magicznym Dolnym Śląsku 22
- Pierwsze lubuskie poezje zebrane 23
- Lata dziejów zapisane na papierze 24
- Dlaczego Michał Kaziów powinien mieć pomnik 25
- Przemiany i zjawiska zatrzymane przez Kamerę 26-27
- Pierwszy film o Grünbergu 27-28

Adres
- Czerwona szkoła była pierwsza 29
- Ul. Adama Mickiewicza 11 30

Portrety
- Prezydent od budowy infrastruktury komunalnej 31
- To sztuka zgnębić siebie i nie iść na dno 32

Jak zostałem Zielonogórzanką
- Piętnaście wejść na podium mistrzostw świata 33-35

Kronika
- Doroczna Gala Kultury z honorowymi zaszczytami i nagrogą literacką Winiarka 36-37
- Od jesieni do wiosny 38
- W intymnym świecie malarstwa Bożeny Cajdler-Gruszkiewicz 39

Gdzie indziej
- Grünberg jest w niemieckiej Hesji 40

Stadion im. Edwarda Czernika

Zielona Góra nie jest usportowionym miastem. Nie znaczy to, że nie ma się czym pochwalić. Ale nie powinna się porównywać z Gorzowem czy z Opolem, a nawet z mniejszymi Ostrowem Wielkopolskim i Lubinem. Tak jest od dawna. Chociaż kiedyś było troszkę inaczej. Starsi mieszkańcy pamiętają lata, kiedy tysiące Zielonogórzan chodziły na stadion przy Sulechowskiej, jak się mówiło, na Czernika. Było to wówczas, kiedy lekkoatletyczny Lumel tworzyli tacy mistrzowie, jak Marian Filipiuk (biegi na 400 m – 47,1 sek., na 200 – 10,4 sek. i 100 – 21,1), Lech Klinger (2,14 m w skoku wzwyż), Jerzy Miliczenko (2,11 w skoku wzwyż), Danuta Konowska-Hołowińska (1,80 w skoku wzwyż), Henryk Galant (10,3 sek. na 100 m i 21 sek. na 200), Grzegorz Cybulski (8,27 m w skoku w dal), Bożena Zientarska (400 m – 53,5 sek.). Do dziś Edward Czernik pozostaje mistrzem Polski w skoku wzwyż stylem przerzutowym (2,20 m). Wtedy lekkoatletyczny Lumel rywalizował z takimi lekkoatletycznymi potęgami jak: Skra Warszawa, Wisła Kraków, Górnik Zabrze, Zawisza Bydgoszcz. W opowieści „Przeskoczyłem siebie" E. Czernik wspominał, że wtedy „W Zielonej Górze (...) lekka atletyka urastała do rangi rzeczywistej królowej sportu".

Mimo że za zielonogórski sport nr 1 uważa się żużel i koszykówkę, to najwięcej razy na podiach mistrzostw Polski, Europy i świata stawali strzelcy i pięcioboiści nowocześni. Tylko przedstawiciele tych dyscyplin zdobyli medale olimpijskie: pięcioboiści złote indywidualnie i w drużynie, strzelczynie srebrny i brązowy.

Za sprawcę osiągnięć lekkoatletów Lumelu uważa się Zbigniewa Majewskiego, który „jeździł po podzielonogórskich wsiach i miasteczkach i przywoził do stolicy województwa utalentowaną sportowo młodzież – napisał E. Czernik. – Tak tworzył bardzo mocny zielonogórski ośrodek lekkoatletyczny, w którym ja miałem grać pierwsze skrzypce".

Z. Majewski był również ojcem ośrodka w Drzonkowie i w niemałej części sukcesów pięcioboistów. Przecież gdyby nie wymyślił tego ośrodka i na wariackich papierach nie zbudował hal, basenu, strzelnicy, parkuru, stajni i reszty, nie powstałby Zielonogórski Klub Sportowy „Drzonków" z sekcjami najpierw pięciobojową i jeździecką, później i tenisa stołowego. A jeszcze później nie byłoby stowarzyszenia Sokół z żeńską drużyną futbolistek. Nie znalazłaby dachu nad głową kolarska Trasa. I może dalej teren należałby do Lasów Państwowych, a Drzonkowa nie byłoby na mapie sportowego świata.

Jeszcze jedno dla tych, którzy cenią historię. Nie ma Lubuskiej Fabryki Zgrzeblarek Bawełnianych „Falubaz", ale zachowała się nazwa. Zielonogórski Klub Żużlowy „Falubaz". I nie ma Zaodrzańskich Zakładów Przemysłu Metalowego „Zastal", ale trzyma się koszykarski Zastal BC.

I propozycja. Jak poprzedni gospodarz miasta, tak i obecny obiecuje odbudowę stadionu przy Sulechowskiej. Myślę, że nie są to słowa rzucane na wiatr. Jeżeli do tego dojdzie, to wnioskuję, żeby patronem tego obiektu został Edward Czernik.

Alfred Siatecki

ISSN 2544-2880
na WINNICY
Magazyn Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry WINNICA

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY WINNICA

Redagują:
Alicja Błażyńska, Alina Polak-Woźniak, Alfred Siatecki – redaktor naczelny.
Projekt winiety – Wacław Serdeczny. Projekt layoutu, skład i łamanie – Emilia Ćwilińska. Druk – Oficyna Wydawnicza UZ.
Numer zamknięto 28 lutego 2026 r.

Adres do korespondencji
65-093 Zielona Góra, ul. Lisia 37, e-mail: tmzg-winnica@o2.pl, www.tmzg.org.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość wykorzystania publikowanych materiałów na stronie internetowej TMZG „W". Za treść zamieszczonych reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych redakcja nie odpowiada.

Szalony pomysł Zbigniewa Majewskiego?

Pół wieku temu, od 19 do 24 września 1976 roku, odbyły się pierwsze w dziejach Zielonej Góry sportowe mistrzostwa świata. Były to juniorskie mistrzostwa w pięcioboju nowoczesnym, w których wzięło udział 55 zawodników z 21 państw. Jazda konna i strzelanie odbyło się w Drzonkowie, szermierka w hali w Czerwieńsku, pływanie na basenie Lubtouru w Zielonej Górze, bieg przełajowy na Wzgórzach Piastowskich.

We wrześniu 2014 roku na terenie ośrodka stanął kamień z tablicą poświęconą pamięci jego twórcy

fot. Daniel Jung

Pięć lat po mistrzostwach juniorów do Drzonkowa przyjechali pięcioboiści seniorzy na swoje mistrzostwa świata. Po tej imprezie odbywały się mistrzostwa świata, Europy, Polski, regionu – leśników, lekarzy, niepełnosprawnych, pływaków, siatkarzy, koszykarzy, kolarzy, tenisistów stołowych i ziemnych, jeźdźców, akrobatów, wędkarzy, oldbojów, juniorów... Konkursy taneczne, półkolonie, Piknik Zdrowia, Dzień Ziemniaka, koncerty w ramach Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, Zlot Miłośników Garbusa, wystawy psów rasowych i ptactwa ozdobnego, targi budowlane i wystroju wnętrz, konferencje, szkolenia. Tu swoją siedzibę ma Lubuska Federacja Sportu i Zielonogórski Klub Sportowy „Drzonków" z sekcjami pięcioboju nowoczesnego, tenisa stołowego i jeździectwa. We wrześniu 2025 r. w Drzonkowie zameldowali się uczestnicy wojskowych mistrzostwa świata w pięcioboju. W listopadzie 2026 r. odbędą się mistrzostwa świata pięcioboistów U24.

Rogata dusza

Sportowa historia tego miejsca zaczęła się w 1972 r. Jej twórcą był Zbigniew Majewski, wyłapywacz talentów w Zrywie i ojciec lekkoatletycznego Lumelu w czasach, kiedy zielonogórski klub rywalizował z warszawską Legią, krakowskim Wawelem, bydgoskim Zawiszą, zabrzańskim Górnikiem, wrocławskim Śląskiem. Jego wychowankami byli reprezentanci Polski, między innymi skoczkowie wzwyż Edward Czernik, Lech Klinger, Jerzy Miliczenko, Danuta Konowska-Hołowińska, sprinter Marian Filipiuk.

Czy dlatego Z. Majewski zajął się pięciobojem nowoczesnym, że wyniki uzyskiwane przez enerdowskich lekkoatletów zniechęciły go do lekkiej atletyki, nie da się potwierdzić. Pewnie jednak jest w tym dużo prawdy. Jak i prawdą jest, że miał dość miasta i dlatego wyprowadził się z mieszkania w kamienicy do domu w Drzonkowie, wtedy malutkiej, bo liczącej około 200 mieszkańców wioski między Raculą i Suchą. Obecnie Drzonków jest w granicach miasta, a mieszka na jego terenie blisko 2 tysiące osób, na co z pewnością miała wpływ tamta decyzja Z. Majewskiego. Jak i na to, że ulice przyjęły nazwy związane ze sportem. Główna to Olimpijska, boczne: Jeździecka, Ośrodkowa, Pięciobojowa, Przełajowa, Strzelecka, Szermiercza. Patronem Szkoły Podstawowej są Polscy Olimpijczycy.

Gdy Z. Majewski został mieszkańcem Drzonkowa, przekonał władze lekkoatletycznego Lumelu, gdzie był wiceprezesem, do zajęcia się pięciobojem nowoczesnym, wtedy dyscypliną sportu mało znaną nie tylko na środkowym Nadodrzu, ale i w Polsce. Klub wydzierżawił cztery hektary ziemi i leśniczówkę w Drzonkowie od Lasów Państwowych i zaczął przebudowywać poleśne budynki na obiekty przydatne pięcioboistom. Powstała stajnia z boksami dla dwunastu koni, paszarnia, pokój dla masztalerzy, kawiarenka z kominkiem. Wtedy narodziło się hasło „Konia z rzędem dla Drzonkowa". Jako pierwszy odpowiedział na nie warszawski Lotnik, który przekazał klubowi dwa konie. Po nim wierzchowce ofiarowały lubuskie pegeery, przedsiębiorstwo obrotu zwierzętami hodowlanymi i stacja hodowli zwierząt. Pozwoliło to na rozegranie latem 1974 r. pierwszych mistrzostw Lumelu w pięcioboju, mimo że formalny plan zagospodarowania terenu został zatwierdzony dopiero w następnym roku. Z Majewski nigdy nie ukrywał, że nie czekał na podpisy urzędników i listonosza, który przywiezie zezwolenie na rozpoczęcie prac. Już w 1973 r. ruszyły roboty na dziko. Krążyła nawet opowieść, że sekretarz komitetu wojewódzkiego partii, który odwiedził plac budowy jeszcze przed wydaniem formalnej zgody, pochwalił Z. Majewskiego i zaraz ostrzegł, że nie było go oficjalnie w Drzonkowie.

Ma się rozumieć, że od samego początku pierwsze skrzypce grał Z. Majewski. Jedni mówili, że gdzie diabeł nie może, tam Majewski załatwi, drudzy – że wypędzony przez drzwi, wracał oknem. Dziennikarz „Przeglądu Sportowego" nazwał go Rogatą duszą. „Ten człowiek fascynuje swoją osobowością – napisał. – Zawsze aktywny (...) Ledwie coś skończy, zaraz tryska zeń energia i buduje nowe". Jest prawdą, że Z. Majewski nie miał obaw, żeby zaczepić ministra, wojewodę, sekretarza, prezesa, dyrektora. Zaczepić i tak długo opowiadać o tym, co powstanie w Drzonkowie, jeżeli otrzyma pomoc (finansową), aż przyduszony do ściany nie miał innego wyjścia, jak obiecać wsparcie. Tą drogą najpierw zdobył 25 mln zł z totalizatora. A potem jakoś to się toczyło, to znaczy zawsze brakowało pieniędzy i materiałów budowlanych, a powstawały hale, kryty basen, parkury, bungalowy, hotel, boiska, parkingi. Świadkowie twierdzili, że najpierw te obiekty powstawały w głowie Z. Majewskiego, potem kreślił je patykiem na piasku, i dopiero wtedy projektanci przenosili je na papier w pracowniach architektonicznych.

Większość zadań wykonało przedsiębiorstwo budownictwa sportowego Polsport. Do robót specjalistycznych Z. Majewski angażował miejscowe firmy (często za dziękuję). Prace porządkowe, ale i wymagające znajomości rzeczy wykonali

żołnierze, junacy OHP, strażacy OSP, licealiści, studenci, jak się wtedy mówiło, w czynie społecznym. Osoby pamiętające tamten czas twierdzą, że to, co działo się w Drzonkowie, było na ustach niemal wszystkich Zielonogórzan, więc chętnych do pomocy nie brakowało.

Bardzo udane mistrzostwa

A przybyło jeszcze więcej pomocników, gdy się okazało, że we wrześniu 1976 r. tu odbędą się mistrzostwa świata juniorów w pięcioboju nowoczesnym. Pierwsze wydarzenie tej rangi w województwie zielonogórskim. Nie wszystko, co jest niezbędne do przeprowadzenia imprezy udało się zbudować w Drzonkowie, dlatego poza ośrodkiem odbyły się trzy konkurencje: jedna w Czerwieńsku i dwie w Zielonej Górze. „Po raz pierwszy Polska jest organizatorem tak poważnej imprezy w gałęzi sportu, która na Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu przyniosła nam piękny sukces w postaci złotego medalu Janusza Peciaka" – pisała „Gazeta Lubuska".

Mistrzostwa, na które przyjechało 55 młodych pięcioboistów z 21 państw, rozpoczęły się 16 września od uroczystego otwarcia ośrodka w Drzonkowie. „GL" twierdziła, że jeszcze nigdy w historii pięcioboju – łącznie z igrzyskami i mistrzostwami świata – nie startowało aż tylu zawodników. Właściwa inauguracja mistrzostw odbyła się następnego dnia na stadionie żużlowym w Zielonej Górze. Licznie zebranej publiczności zaprezentowali się uczestnicy pięcioboiści, zagrała orkiestra dęta Zastalu, pokazali swoje umiejętności jeźdźcy i konie ze stadniny w Bogusławicach, a całość dopełnili tancerze z Krakowiaków i Sasanki z zielonogórskiej podstawówki nr 3.

Zawodnicy stanęli do rywalizacji 21 września na parkurze w Drzonkowie do jazdy konnej. Konkurencję wygrał Szwed, a drużynowo Szwecja i Polska. Kolejnego dnia odbył się turniej szpadowy w hali WKS „Śląsk" w Czerwieńsku. Najlepszy okazał się Niemiec z NRF i Węgrzy. Trzeciego dnia mistrzostw pięcioboiści wrócili do Drzonkowa, gdzie na strzelnicy odbyło się strzelanie z pistoletu kulowego. Wygrał Francuz i Brytyjczycy. Na pływanie przenieśli się do 25-metrowej pływalni Lubtouru w Zielonej Górze. Zwyciężył Amerykanin i zespół USA. Ostatnia konkurencja, bieg przełajowy na dystansie 3 km, odbył się na Wzgórzach Piastowskich w Zielonej Górze. Wygrał Niemiec z NRF i drużyna NRF. Młodzieżowym mistrzem świata został Węgier Lajos Dobi i zespół ze Związku Radzieckiego. Najlepszy z Polaków Włodzimierz Pasik zajął 12 miejsce, Marek Bajan – 21 i Roman Markowski – 25. Drużynowo Polska uplasowała się na miejscu czwartym.

Uroczyste zakończenie zmagań zakończyło się w Hali Ludowej. Oprócz wręczenia medali i dyplomów odbyła się część artystyczna w wykonaniu węgierskiej grupy wokalnej General Gerls, zespołu tanecznego Saga z VII LO i solistów.

Nikt nie miał wątpliwości, że mistrzostwa były udane. Jak i już nikt nie miał pretensji do Z. Majewskiego o to, że wymyślił ośrodek w Drzonkowie, na który nie było pieniędzy i materiałów budowlanych.

Perła pięciobojowa

Dopiero po tych mistrzostwach formalnie powołano Ośrodek Pięcioboju Nowoczesnego i Jeździectwa LKS „Lumel". Było to nie tylko centrum sportowe, ale i usługowe. W szczycie swoich możliwości z bazy gastronomicznej korzystało około pół tysiąca osób. Ośrodek świadczył usługi budowlane i remontowe. Dysponował autobusem marki Jelcz i mniejszymi samochodami Robur, Nysa i Polonez, ciężarówkami, wozami konnymi i bryczkami. Zatrudniał 150 trenerów, przewodników, kucharzy, murarzy, kowali, ślusarzy, robotników fizycznych. Hodował 250 owiec. Uprawiał 200 hektarów gruntów rolnych, z których zbierał około 70 ton zboża, słomę, siano. Własna produkcja zabezpieczała potrzeby paszowe znajdujących się tam koni. Sprzedawał obornik hodowcom pieczarek. Prowadzenie tej działalności sprawiło, że ośrodek utrzymywał się bez dotacji.

Przed seniorskimi mistrzostwami świata w 1981 r. ośrodek wizytował sekretarz generalny Międzynarodowej Unii Pięcioboju Nowoczesnego i Dwuboju Zimowego Willer Guta. „Jeśli w ubiegłym roku można było jeszcze dyskutować, czy ośrodek w Drzonkowie jest najpiękniejszy i najbardziej funkcjonalny na świecie, to obecnie sprawa jest oczywista – stwierdził. – To prawdziwa perła pięciobojowa i mogę mówić jedynie w superlatywach".

Potem tak ośrodek, jak i klub zmieniali nazwy. W latach 1989-95 funkcjonował jako oddział Centralnego Ośrodka Sportu. Następnie stał się zakładem budżetowym wojewody. Obecnie jest pod zarządem samorządu województwa lubuskiego. Po śmierci jego twórcy w 2013 r. przyjął nazwę: Wojewódzki Ośrodek Sportu i Rekreacji im. Zbigniewa Majewskiego. Od jedenastu lat, zawsze w grudniu, ośrodek gości pięcioboistów, biorących udział w Memoriale Zbigniewa Majewskiego.

DJ

WOSiR na bogato

– kompleks basenów: zadaszona pływalnia 50-metrowa, odkryta pływalnia rekreacyjna 25-metrowa; pływalnia kryta 25-metrowa
– dwa boiska do siatkówki plażowej
– boisko do koszykówki 3 x 3
– hale sportowa i tenisowa
– dwa korty odkryte o nawierzchni ceglanej
– strzelnice: laserowa z 17 stanowiskami, plenerowa z 38 stanowiskami i pneumatyczna z 14 stanowiskami
– hipodrom z rozprężalnią, automatycznym nawilżaniem i oświetleniem
– dwie kryte ujeżdżalnie, karuzela dla koni, padoki, tereny crossowe
– sala konferencyjno-sportowa (szermiercza)
– siłownia
– hotele: Olimpijczyk A – 69 miejsc, Olimpijczyk B – 26 miejsc, Sportowiec – 57 miejsc, apartament Pacel-tówka – 6 miejsc
– domki całoroczne – 106 miejsc
– kemping z pełnym węzłem sanitarnym
– jadalnia, kawiarnia Stajenka, smażalnia ryb
– jaskinia solna
– plac piknikowy z dwiema wiatami, smażalnia ryb
– plac rekreacyjny i dwa place zabaw dla dzieci
– łowisko z 30 stanowiskami dla wędkarzy
– winnica i alejki winogronowe
– parkingi
– budynek administracji i klubowy

Andrzej Flügel

Od piłkarskiego RKS „Wagmo” do KS „Lechia”

Zielonogórski futbol – zawsze w cieniu żużla, a potem także koszykówki. Ostatnie miesiące pokazują jednak, że piłka nożna w Winnym Grodzie postanowiła wyjść z lokalnych opłotków.

Historia futbolu w Zielonej Górze zaczęła się w 1946 roku. Powstał wówczas Robotniczy Klub Sportowy „Wagmo” przy Fabryce Wagonów i Konstrukcji Stalowych, która potem zmieniła nazwę na Zastal. Później w myśl zarządzonej w całej Polsce na wzór radziecki zmian nazw klubów, zgodnie z przynależnością do zrzeszeń Wagmo zostało w 1949 r. Stalą. Właśnie jako Stal zespół zielonogórski dostał szansę gry w drugiej lidze. Niestety, przygoda trwała tylko rok (grano wówczas systemem wiosna – jesień). Dziesiąte, ostatnie miejsce oznaczało spadek.

Od 1955 r. drużyna występowała

pod nazwą Zastal.

Była czołowym klubem w regionie, walczyła w trzeciej lidze, często będąc blisko od awansu. W 1973 r. Polski Związek Piłki Nożnej zreformował rozgrywki centralne, organizując dwie grupy drugiej ligi. Postanowiono włączyć do niej cztery zespoły z województw, które nie miały swoich reprezentantów w lidze centralnej, czyli zielonogórskiego, koszalińskiego, białostockiego i olsztyńskiego. W ten sposób w drugiej lidze zagrał Zastal. Zmontowano silną, jak się wydawało, ekipę. Mecze cieszyły się sporym zainteresowaniem, a na stadionie przy ulicy Sulechowskiej bywało nawet dziesięć tysięcy widzów, co dziś wydaje się czymś nieosiągalnym. Niestety, Zastal zajął czternaste, pierwsze spadkowe miejsce, do utrzymania zabrakło mu jednego punktu. Wystarczyło wygrać ostatni mecz u siebie z Górnikiem Wojkowice. Był remis 0:0, a to oznaczało spadek. Na drugą ligę zespół z Zielonej Góry musiał czekać 21 lat!

W latach 70. i 80. Zastal był czołowym zespołem regionu. Walczył o awans, ale zawsze czegoś brakowało. Kiedy obowiązywał system bez trzeciej ligi, czyli mistrzowie klas okręgowych grali turnieje o awans do drugiej, Zastal będąc faworytem tych turniejów, zawalał. Potem, gdy przywrócono trzecią ligę, zespół wielokrotnie był w czołówce, ale na finiszu zawsze ktoś okazywał się lepszy. W 1979 r. po rundzie jesiennej Zastal wyraźnie prowadził w swojej grupie trzeciej ligi. Wydawało się, że wiosną wreszcie będzie można świętować awans. Niespodziewanie dyrektor fabryki postanowił zerwać z systemem, na którym był oparty cały polski futbol, czyli pozorne amatorstwo, zawodnicy mieli etaty, ale nie pojawiali się na stanowiskach, a ich pracą były treningi i mecz. Piłkarze Zastalu dostali wówczas propozycję, że mają normalnie pracować, a trenować, grać amatorsko i w czasie wolnym. Pomysł był nowatorski, likwidujący fikcję, ale utopijny, bo zrobiła to tylko jedna firma, wszyscy wokół pozostali przy starym systemie. Co z tego, że dyrekcję Zastalu chwaliła polska prasa centralna? Piłkarze ani myśleli zostać amatorami. Znaleźli nowe kluby, które zatrudniły ich na kolejnych etatach. Sezon dokończyli juniorzy. Klub miał taki zapas punktów z jesieni, że spokojnie utrzymał się w trzeciej lidze.

Jesienią 2025 r. rozegrano pierwszy w historii Zielonej Góry mecz przy sztucznym świetle, coś o czym wcześniej można było tylko pomarzyć.

To był koniec Zastalu jeśli chodzi o futbol. Sekcja piłkarska, a w sumie to co z niej zostało, połączyła się z grającymi w okręgówce Budowlanymi Zielona Góra, tworząc

Międzyzakładowy Budowlany Klub Sportowy Lechia.

Przez kolejne lata zespół walczył w trzeciej lidze, kontynuując to, co prezentował wcześniej Zastal, czyli solidny futbol, ale na trzecioligowym poziome. Sezony, w których wydawało się, że awans jest tuż-tuż, przeplatane słabszymi, gdzie ekipa plasowała się mniej więcej w środku tabeli.

Głośno zrobiło się o Lechii w sezonie 1986/87. Zespół zdobył Puchar Polski na szczeblu wojewódzkim i zyskał prawo do gry na szczeblu centralnym. Najpierw pokonał Wartę Poznań 2:0, potem Zawiszę Bydgoszcz 3:0, w trzeciej rundzie lokalnego rywala Dozamet Nowa Sól 2:0. W 1/16 finału do Zielonej Góry przyjechał ekstraklasowy Lech Poznań. W obecności sześciu tysięcy widzów po dogrywce Lechia wygrała 4:2. Trzy bramki strzelił Zenon Swędera w 77, 102 i 105 min., jedną Jerzy Kwapis w 91 min. Była to spora sensacja. W 1/8 finału Lechia podejmowała inny zespół z ekstraklasy, Górnika Wałbrzych, wygrywając 2:1, a bramki zdobyli: Z. Swędera w 2 min. i Zbigniew Sawczuk w 82 min. Awans do ćwierćfinału był największym sukcesem klubu i dodajmy Lechia była o krok, by znaleźć się w półfinale. W 1/4 grano wówczas mecz i rewanż. W pierwszym spotkaniu w Zielonej Górze gospodarze pokonali grający wówczas w ekstraklasie ŁKS Łódź 2:1 po dwóch bramkach Z. Swędery w 53 i 85 min. W rewanżu aż do 87 min. utrzymywał się remis 1:1 (bramkę dla Lechii zdobył Z. Sawczuk w 39 min.), który dawał naszej ekipie awans. Niestety, gol w 87 min. dla ŁKS-u doprowadził do dogrywki, w której gospodarz strzelił dwa kolejne, wygrywając 4:1.

Nadzieje, że Lechia może zrobić coś więcej niż granie w trzeciej lidze pojawiły się wraz z przyjściem do klubu trenera Bronisława Przygrodzkiego, który zmontował fajny zespół, złożony w większości z młodych zielonogórskich, głodnych sukcesu zawodników. W sezonie 1994/95 Zielonogórzanie, którzy po pozyskaniu sponsora nazywali się Lechia – Polmozbyt, toczyli zacięty bój o awans z Moto Jelczem Oława. W sumie o to, kto zostanie drugoligowcem, zadecydowały niuanse (obie ekipy miały na finiszu tyle samo punktów), a ściślej mówiąc lepszy bilans bezpośrednich spotkań, bo w Zielonej Górze nasi wygrali 3:1, a w Oławie

przegrali 1:2. Dodajmy, że ostatni mecz trzecioligowy w Chocianowie ze Stalą wygrany 4:1 obejrzało dwa tysiące zielonogórskich kibiców, którzy w tym miasteczku pod Polkowicami fetowali awans. To nie zdarzyło się ani wcześniej, ani później.

Kolejne cztery sezony przeszły do historii klubu, bo przez ten czas zespół pozostawał na zapleczu ekstraklasy. Cały czas trwała jednak heroiczna walka o utrzymanie. Trzeba sobie jasno powiedzieć, że Lechia nie mogła liczyć na pomoc władz miejskich w takim zakresie jak inni drugoligowcy, ciężko szło pozyskiwanie sponsorów i głównym motywem była pusta kasa, co uniemożliwiało powalczenie o coś więcej jak tylko o ligowy byt. Złe decyzje podejmowali też działacze, którzy nie zawsze uczyli się na błędach. Dodajmy, że był to czas korupcji w polskiej piłce, wyraźnie widoczny w rozgrywkach ligowych. W pierwszym swoim sezonie w drugiej lidze Lechia zajęła 14 miejsce w grupie zachodniej (pierwsze nad kreską), mając jedynie punkt przewagi nad spadkowiczem Wartą Poznań. W kolejnym 1996/97 też byliśmy na 14 miejscu, ale tym razem mieliśmy pięć punktów przewagi nad spadkowiczem Lechią Gdańsk. W następnych rozgrywkach Zielonogórzanie wypadli lepiej, bo finiszowali na 12 miejscu. Niestety, czwarty sezon oznaczał koniec przygody na zapleczu ekstraklasy. Lechia zajęła ostatnie miejsce, zwyciężając w całych rozgrywkach zaledwie w dwóch meczach!

Nastąpił trudny czas. Zespół balansował na granicy istnienia, ratując się fuzjami, najpierw z Piastem Czerwieńsk, potem z ASPN Zryw (pod taką nazwą grał w jednym sezonie), wreszcie z Lechem Sulechów i po pozyskaniu sponsora, występując jako Lech-Sulma. Potem była kolejna fuzja, tym razem z Fadomem Nowogród Bobrzański. Po kolejnej reformie rozgrywek i ponownym utworzeniu dwóch grup drugiej ligi Lechia występowała w niej w sezonach 2009 – 2011. W 2012 r. ówczesny prezydent miasta przekonał działaczy, że Zielona Góra jest w stanie sponsorować tylko jeden klub. Tak z mapy polskiej piłki zniknęła Lechia i pojawił się Uczniowski Klub Piłkarski, który odnosił wielkie sukcesy, ale w futbolu młodzieżowym. Niewiele to zmieniło. Potem pierwszą drużyną miasta stał się Falubaz. To był nowy klub, w pierwotnym pomyśle złożony z kibiców żużlowego Falubazu, który zaczynał od klasy C. Piął się po szczeblach, przestał być amatorski, wygrał czwartą ligę, ale zrezygnował. Połączył się z UKP i jako Falubaz reprezentował miasto. W 2019 r. wrócono do historycznej nazwy Lechia.

Potem były równie trudne lata, Trenerem Lechii był Andrzej Sawicki, pojawiali się młodzi, obiecujący zawodnicy, ale możliwości kończyły się na środku tabeli.

Do zarządu dołączył były reprezentant Polski Maciej Murawski, obecny prezes. Klub zaczął wychodzić na prostą. Nie było tego może widać w ligowej tabeli, ale funkcjonował o wiele lepiej niż wcześniej. W sezonie 2022/23

Lechia była sensacją w Pucharze Polski.

Po pokonaniu pierwszoligowego Podbeskidzia Bielsko-Biała 2:1 (po dogrywce) nasz zespół wygrał z ekstraligową Jagiellonią Białystok 3:1, po dwóch bramkach Przemysława Mycana w 9 i 33 min. oraz Rafała Ostrowskiego w 47 min. w 1/8 finału po remisie z Radomiakiem 0:0 Lechia wygrała w rzutach karnych 3:1. W ćwierćfinale podejmowaliśmy Legię Warszawa, przegrywając 0:3. Było to wielkie święto futbolu w Zielonej Górze.

Przed sezonem 2024/25 klub rozstał się z trenerem A. Sawickim. Nowym szkoleniowcem został Sebastian Mordal, dotychczasowy opiekun juniorów Śląska Wrocław. Była to jego pierwsza praca z seniorami. W jego inauguracyjnym sezonie Lechia zajęła ósme miejsce. Przed obecnym sezonem zakontraktowano jeszcze młodych, ale już doświadczonych i głodnych sukcesu zawodników. Lechia w znakomitym stylu występowała w rundzie jesiennej, po której była liderem. W 18 meczach zdobyto 39 punktów (11 zwycięstw, sześć remisów, jedna porażka, bramki 47:10). Zespół, trener i działacze zapowiedzieli walkę o drugą ligę i miejmy nadzieję, że cel osiągną. Dodajmy do tego spokojne, profesjonalne działanie zarządu klubu, wielką przychylność władz miejskich, które dołożyły milion złotych do wcześniejszej dotacji, wskazując cel, czyli drugą ligę.

Przypomnijmy, że kibice Lechii dwukrotnie wygrali walkę o budżet obywatelski, najpierw na budowę krytej trybuny na tak zwanym dołku, na którym mecze gra Lechia (płyta obok głównego stadionu lekkoatletycznego) i oświetleniu tego obiektu. Jesienią 2025 r. rozegrano pierwszy w historii Zielonej Góry mecz przy sztucznym świetle, o czym wcześniej można było tylko pomarzyć.

Czy trudna i naszpikowana wybojami droga futbolu w mieście w tym roku doprowadzi Lechię na szczebel centralny? Miejmy nadzieję, że tak. Piłkarska wiosna w trzeciej lidze ruszyła 28 lutego, koniec rozgrywek zaplanowano na ostatni weekend maja.

Lechia pokonała jesienią 2025 r. prowadzącego w tabeli trzeciej ligi Górnika Polkowice 5:0 i została liderem. Oby tej pozycji nie oddała do końca rozgrywek. *fot. Archiwum*

Gwardia strzelców

Nie zielonogórscy żużlowcy i nie pięcioboiści, a strzelcy zdobyli najwięcej medali podczas mistrzostw świata, Europy i Polski. Mimo że wśród strzelców jest więcej mężczyzn niż kobiet, to kobiety dwukrotnie stały na podium olimpijskim.

W tym samym roku, to znaczy 1950, kiedy Zielona Góra została stolicą województwa, powstała Liga Przyjaciół Żołnierza. To była organizacja paramilitarna, stawiająca sobie za cel współdziałanie społeczeństwa z wojskiem. Jednym ze sposobów było prowadzenie sekcji, na przykład modelarskich, krótkofalarskich, strzeleckich. Zielonogórska sekcja strzelecka była zaliczana do najsilniejszych w kraju, o czym świadczy decyzja trenera kadry narodowej Ludwika Kostery dotycząca przeniesienia Stanisława Maruchy z Włókniarza Kalisz do LPŻ Zielona Góra, co stało się w 1961 r. Rok później miejsce LPŻ zajęła Liga Obrony Kraju. Zielonogórska sekcja strzelecka LPŻ została rozwiązana. Jej członkowie mogli uprawiać strzelectwo w wojskowym klubie Czarni w Żaganiu lub w milicyjnej Gwardii Zielona Góra. S. Marucha, jak i Eugeniusz Pędzisz (czterokrotny olimpijczyk) wybrali Gwardię.

Prekursorem strzelectwa sportowego w Zielonej Górze był Stanisław Pinczewski. Karierę sportową rozpoczął w 1947 r. podczas mistrzostw Wojska Polskiego w Rembertowie. Był mistrzem kraju i rekordzistą w strzelaniu z pistoletu wojskowego tzw. tetetki. Po ukończeniu kursu dla instruktorów rozpoczął służbę w szkole oficerskiej w Legnicy, a reprezentował wrocławską Gwardię. Mówił, że strzelał ze wszystkiego, oprócz armaty. W 1956 r. znalazł się w Zielonej Górze i zaczął organizować sekcję strzelecką w Zrzeszeniu Sportowym „Gwardia", które zajmowało się sportem masowym i wyczynowym. Do zrzeszenia należały obiekty przy ul. Strzeleckiej i stadion przy Wrocławskiej. Żartował, że gdy przyjechał do Gwardii, w kole był tylko jeden pistolet. Pojechał więc do stolicy, skąd przywiózł kilka sztuk broni sportowej. Mając broń, ogłosił nabór do sekcji wśród milicjantów. „Po pierwszym słomianym zapale w sekcji pozostało dwóch – Jan Michalak i Tadeusz Nowicki oraz oczywiście ja".

fot. Archiwum

Pierwszym zielonogórskim strzelcem biorącym udział w Igrzyskach Olimpijskich był Stanisław Marucha (1937-2008). W Tokio (1964) zajął 15 miejsce, a w Montrealu (1976) – 37-40. Zdobył 20 tytułów mistrza kraju. W latach 1980-1992 był trenerem kadry Polski. Od 2009 r. Gwardia organizuje ogólnopolski Memoriał Stanisława Maruchy.

Dr hab. Jerzy P. Majchrzak podaje, że według przekazów archiwalnych zielonogórska Gilda Strzelecka powstała w pierwszą niedzielę po Wielkiej Nocy 1578 roku. Istniała do listopada 1918 r., kiedy starosta zielonogórski nakazał jej rozwiązanie. Niewątpliwie było to najstarsze w mieście mieszczańskie stowarzyszenie samorządowe – twierdzi historyk i germanista. Od 1585 r. Gilda organizowała raz w roku zawody o tytuł Króla Strzelców. Zanim na przełomie 19 i 20 stulecia wybudowano w mieście kompleks strzelecko-rekreacyjny przy ulicy Strzeleckiej, zawody odbywały się gdzieś między obecną ulicą Kupiecką a konkatedrą pw. św. Jadwigi. Obiekty przy Strzeleckiej systematycznie rozbudowywano. W latach dwudziestych doszła kręgielnia, amfiteatr, pawilon muzyczny, restauracja.

W 1957 r. koło sportowe Gwardia działające przy Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej przekształciło się w klub sportowy Gwardia. S. Pinczewski został urzędującym wiceprezesem, trenerem i zawodnikiem. Szkoleniowcem strzelców był również Tadeusz Janczałek, a od 1958 r. Ryszard Sadurski, który w tym samym roku zdobył pierwszy medal mistrzostw Polski jako zawodnik Gwardii.

Kolejna zmiana nastąpiła w 1993 r. Wtedy powstał Zielonogórski Policyjny Klub Sportowy „Gwardia".

Nie jest łatwo policzyć osiągnięcia strzelców. Zacznijmy więc od sukcesów podczas igrzysk olimpijskich. Małgorzata Książkiewicz-Kubka zdobyła brązowy medal w Barcelonie (1992) w konkurencji karabinka 3x20 strzałów w trzech postawach. Uczestniczyła w igrzyskach w Atlancie (1996). Jej klubowa koleżanka Sylwia Bogacka stanęła na drugim stopniu podium podczas igrzysk w Londynie (2012) za zajęcie drugiego miejsca w strzelaniu z karabinu pneumatycznego. Uczestniczyła w igrzyskach w Atenach (2004), Pekinie (2008) i Rio de Janeiro (2016). Pierwszym zielonogórskim strzelcem biorącym udział w igrzyskach był S. Marucha. W Tokio (1964) zajął 15 miejsce, a w Montrealu (1976) – 37-40. Zbigniew Fedyczak w Monachium (1972) był 14 w strzelaniu z pistoletu. Krzysztof Stefaniak reprezentował Polskę na igrzyskach w Moskwie (1980) – czwarte miejsce. W Moskwie Andrzej Macur był 14.

Największym sukcesem A. Macura jest zdobycie złotego medalu (wspólnie z Krzysztofem Kucharczykiem i Adamem Kaczmarkiem podczas mistrzostw świata w Mediolanie (1994) w strzelaniu z pistoletu. Ireneusz Jagodziński również był mistrzem Europy (razem z Edwardem Trajdą, Andrzjem Trajdą i Romualdem Siemionowem) w konkurencji karabin pneumatyczny podczas zawodów w 1977 r. Dwukrotnie mistrzynią Europy była Bożena Taysner: w 1972 r. w karabinie pneumatycznym (z Elżbietą Kowalewską i Ireną Wierzbowską) i w 1975 r. w karabinie standardowym (z E. Kowalewską i Małgorzatą Paćko). Jako juniorzy tytuły był mistrzów Europy zdobyli Z. Fedyczak, K. Stefaniak i Krzysztof Tłuczyński.

DJ

Ryszard Zaradny

Pierwsze ćwierć wieku na ringu bokserskim

W 1947 roku w Zielonej Górze istniała już sekcja boksu przy klubie RKS „Wagmo" i drużyna KS „Zieloni". Oba zespoły brały udział w rozgrywkach o drużynowe mistrzostwo okręgu poznańskiego w klasie B. Założycielami RKS „Wagmo" byli: Jan Kowalski, Andrzej Nowiński i Stanisław Szrajter, a KS „Zieloni" – Wincenty Leciej.

Początkowy okres powojenny charakteryzował się powstawaniem nowych struktur organizacyjnych, ale także ich znacznymi zmianami. Tworzono kluby sportowe, a następnie zmieniano nie tylko nazwy, ale też patronów. Jednym z przykładów były losy RKS „Wagmo", klubu założonego w 1946 r., by w 1949 przemianować go na KS „Stal", w 1955 na KS „Zastal" i w 1957 na KS „Lechia". W 1946 r. powstał Milicyjny Klub Sportowy „Gwardia", a w 1948 Zrzeszenie Sportowe „Gwardia", grupujące pracowników milicji i urzędu bezpieczeństwa.

Na kształt organizacyjny sportu znaczący wpływ miały decyzje polityczne. Po zjeździe zjednoczeniowym i powołaniu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (15 grudnia 1948 r.) rozpoczął się proces centralizacji życia społecznego, w tym także sportu. Najpierw w 1948 r. zreorganizowano sport związkowy, powołując dziewięć zrzeszeń. Następnie na podstawie ustawy z 30 grudnia 1949 r. o organizacji spraw kultury fizycznej i sportu utworzono Główny Komitet Kultury Fizycznej, który był państwowym organem planowania, kierownictwa i kontroli całokształtu spraw kultury fizycznej i sportu. Tak jak w całym życiu społeczno-gospodarczym obowiązywał organizacyjny model radziecki (do 1957 r.) i jego rozwój wiązał się z działalnością kilku środowisk – zakładowych, milicyjnych i młodzieżowych – które tworzyły podwaliny zielonogórskiego sportu. Tym samym zlikwidowano samodzielność polskich klubów i związków sportowych. W opracowanej wówczas koncepcji koła sportowe miały składać się z pracowników jednego zakładu lub kilku mniejszych zakładów jednej branży, którzy po pracy mieli zbierać się, by wspólnie krzewić kulturę fizyczną.

Decyzje centralne miały wpływ

na rozwój boksu w Zielonej Górze. Najpierw w 1951 r. włączono sekcję bokserską Gwardii Gorzów (powołaną w 1949 r. przy Komendzie Powiatowej Milicji Obywatelskiej) do KS „Stal" Gorzów, by po powstaniu wojewódzkich struktur milicyjnych w Zielonej Górze, przenieść tam zawodników do klubu gwardyjskiego. 1 sierpnia 1954 r. na I Wojewódzkiej Konferencji Zrzeszenia Sportowego „Gwardia" wybrano przewodniczącego Bronisława Zelera i zarząd składający się z sześciu reprezentantów Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, dwóch – Komendy Wojewódzkiej MO, po jednym – Wojsk Ochrony Pogranicza w Krośnie Odrzańskim i Ośrodka Szkolenia MBP w Czerwieńsku. W tym samym roku władze centralne podjęły decyzję o „odcywilnieniu" Gwardii, co oznaczało, że członkami mogli być jedynie pracownicy resortu. Na walnym zebraniu Koła Sportowego „Gwardia" 27 stycznia1957 r. uchwalono powołanie Klubu Sportowego „Gwardia", którego pierwszym prezesem został płk Lech Kosiorowski, po nim funkcję tę pełnili: Jerzy Potyra (1965-1971) i Jerzy Pilitowski (1971-1983).

Kolejnym etapem kształtowania się zorganizowanej działalności było powołanie w 1951 r. Społecznej Sekcji Boksu TKKF, którą kierowali kolejno: Rajmund Hahn, Jerzy Czubek i Kazimierz Ruchalski. SSB aktywnie uczestniczyła przy reorganizacji obowiązującego kalendarza rozgrywek. Do spotkań towarzyskich i turniejów o mistrzostwo miast dołączono zawody indywidualne, np. mistrzostwa okręgu seniorów. Po politycznym przełomie w czerwcu 1956 r. nastąpiły ponowne zmiany organizacyjne. Z inicjatywy tych osób przekształcono SSB w Zielonogórski Okręgowy Związek Bokserski. Był to moment przełomowy, ponieważ od tego czasu boks w Zielonej Górze nabrał charakteru zorganizowanego, z systematycznymi treningami i udziałem w zawodach międzywojewódzkich. Na pierwszego przewodniczącego zarządu został wybrany K. Ruchalski. Jednak na fali krytyki działalności po trzech miesiącach dokonano zmiany zarządu, a przewodniczącym został R. Hahn.

Sport zielonogórski parał się z trudnościami organizacyjnymi, ponieważ

nie było sal

z odpowiednim zapleczem technicznym. Toteż sensacją była informacja przekazana w styczniu 1952 r. przez „Gazetę Zielonogórską", iż „Zielona Góra dysponuje wspaniałą halą bokserską na 6000 widzów, jednym z większych i piękniejszych tego rodzaju obiektów w Polsce. Hala, która do tego czasu służyła jako magazyn Polskiej Wełny, stwarza idealne warunki do organizowania meczów bokserskich". Inauguracyjną imprezą zorganizowaną w tej hali były indywidualne mistrzostwa bokserskie województwa zorganizowane przez Gwardię. Hala nie spełniała żadnych warunków technicznych i nie ma żadnych adnotacji o tym, że kontynuowano tam zawody bokserskie.

Najczęściej spotkania pięściarzy odbywały się w Hali Ludowej przy ul. Wrocławskiej. Była to sala miejska powstała w 1938 r. w wyniku przebudowy hali dawnej przędzalni należącej do kompleksu Deutsche Wollenwaren Manufaktur. W 1956 r. opracowana została koncepcja przebudowy tak, żeby spełniała różne funkcje kulturalne w mieście. Organizacja spotkań bokserskich wymagała zgody władz miejskich (od 1965 r. Estrady Ziemi Lubuskiej). Trzystuosobowa widownia nie pokrywała kosztów organizacyjnych. W latach 50. podobną widownię miała sala byłego Klubu Rozrywkowego oraz sporadycznie sala Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych przy ul. Dąbrówki. Jedynym wyjściem z istniejącej sytuacji było organizowanie ważniejszych zawodów w sali Ośrodka Wychowania Fizycznego przy ul. Chopina (sala wybudowana w 1930 r.). Ustawiając ring w środku sali, można było zabezpieczyć około tysiąca miejsc dla widzów. Spotkania

bokserskie organizowano także w wolnej przestrzeni, w kinie Warszawa i na kortach OWF przy Chopina (w razie niepogody planowano je przenieść do sali). Mecze bokserskie KS „Gwardia" rozgrywała także, po adaptacji i przebudowie istniejącego wcześniej budynku dawnej hali garnizonowej, we własnej sali przy ul. Strzeleckiej.

Podwaliny rozwoju sportowego

tworzyli trenerzy bokserscy.

W 1949 r. Stali udało się pozyskać instruktora bokserskiego, byłego mistrza Europy i trzykrotnego mistrza Polski, Aleksandra Polusa. W Gwardii, po przejęciu zawodników między innymi z KS „Spójnia", bokserów szkolili Tadeusz Bojtała oraz trenerzy II klasy państwowej Tadeusz Łada i Jan Klimecki. Jednym z najbardziej znanych i legendarnych trenerów boksu w latach 50. i 60. był Tadeusz Duda. Innym znanym szkoleniowcem, który działał w późniejszych latach (choć jego największe sukcesy przypadają na okres po latach 60.), był Zbigniew Raubo, znany ze swoich charyzmatycznych metod szkoleniowych i pracy z czołowymi polskimi bokserami. Duże sukcesy gwardziści odnosili pod kierunkiem trenerów Jerzego Adamskiego i Stanisława Gładysza.

Pierwszym sukcesem w meczu zespołu seniorów zielonogórskiej Gwardii było zwycięstwo 13:7 z Gwardią Lublin, odniesione 2 września 1951 r., przy czym trzon drużyny stanowili gwardziści gorzowscy. W tym okresie bokserzy walczyli jednak przede wszystkim o mistrzostwa indywidualne i drużynowe w województwie. W 1952 r. do klasy wojewódzkiej zgłosiły swój udział drużyny: Gwardia Gorzów, Włókniarz Nowa Sól, Gwardia Zielona Góra, Stal Nowa Sól, Włókniarz Żary, a do klasy powiatowej: Gwardia Gorzów II, Włókniarz Nowa Sól, Gwardia Zielona Góra II, Stal i Włókniarz Żary, Stal Gorzów, Gwardia Szprotawa. W następnym roku do rozgrywek wojewódzkich przystąpiły drużyny: Włókniarz Nowa Sól, Gwardia Zielona Góra, Stal Gorzów i Gwardia Żary. W klasie powiatowej walczyły jeszcze zielonogórskie ekipy Stali i rezerw Gwardii, uzupełnione drużynami ze Wschowy, Świebodzina, Szprotawy i Żagania.

Sekcja bokserska Gwardii Zielona Góra, 1962 r. *fot. Archiwum*

Zielonogórska Gwardia zdobywała drużynowe mistrzostwa województwa w 1954, 1955, 1958 i 1960 r. W połowie lat 50. trzon zespołu stanowili: Jan i Franciszek Hajdugowie, Jan Błaszkowski, Władysław Kostyszyn, Marian Predigier, Stanisław Wlekliński, Stanisław Kolasiński, Andrzej Domińczuk, Jan Klimecki, Marian Wodecki, Władysław Cerbiński, Stanisław Sadowski, Stanisław Czajkowski. Później dołączyli Ryszard Fijak, Jan Pietrykowski i Władysław Żurawski.

Zdobycie tytułu mistrza wojewódzkiego uprawniało do podjęcia walki o awans do rozgrywek centralnych, do II ligi. Sztuka ta powiodła się dopiero w 1962 r. Dokonał tego zespół pod wodzą trenera J. Adamskiego w składzie: W. Żurawski, J. Błaszkowski, J. Pietrykowski, A. Sosnowski, S. Wilczyński, Z. Walendzik, M. Surowy, B. Mosiężny S. Budziński, Z. Pusianowski, E. Miksa, Z. Smolak, H. Franke, R. Fijak, M. Działa, K. Szałaj, B. Chanko, K. Joksz i R. Wasiakowski. Osiągane wyniki pozwoliły gwardzistom na utrzymanie się w tej lidze. Jednak sezon 1968/1969 zakończył się zajęciem ostatniego dziesiątego miejsca i zdegradowaniem – po sześciu latach – do niższej klasy rozgrywek. Ponownie udało się – po rozstrzygnięciu na swoją korzyść rozgrywki eliminacyjnej – powrócić do II ligi w 1973 r. Nastąpiło to po wzmocnieniu drużyny zawodnikami Gwardii Wrocław, braćmi bliźniakami Arturem i Zbigniewem Olechami oraz Jerzym Hornungiem. Oprócz nich trzon drużyny stanowili m.in. Andrzej Broka, Tadeusz Soroka, Józef Kropiwa, Zbigniew Urbaniak, Zenon Laurentowski, Andrzej Graś, Józef Wiater, Zbigniew Stasiełowicz, Majcher, Piotr Mrówczyński, Janusz Leszczyński, Zbigniew Rachwalski. Pomimo iż 1974 r. zajęli trzecie miejsce w II lidze, to pobyt na tym szczeblu rozgrywkowym trwał tylko do 1976 r. Barw zielonogórskich bronili wówczas: T. Soroka, J. Hornung, Andrzej Flinik, bracia Olechowie, Józef Wiater, A. Graś, J. Kropiwa, Marian Dziuk, A. Broka, Janusz Tymuła, Z. Laurentowski, Edward Szczebiot, Eugeniusz Wesołowski, Ryszard Hendzelek i Zdzisław Salmanowicz. Szkoleniowcami w tym okresie byli kolejno: po T. Dudzie – Henryk Tylman, następnie Gerard Musiał, a od marca 1974 r. Alfred Paliński.

Zaznaczyć należy, że klub gwardyjski systematycznie prowadził szkolenie nowego pokolenia. W początkowym okresie były organizowane turnieje Pierwszego Kroku Bokserskiego, później zakładano szkółki bokserskie w Drezdenku, Kożuchowie i Zielonej Górze. Pracę szkoleniową w klubie prowadziło 17 trenerów i instruktorów, w większości byłych zawodników Gwardii. Dzięki ich wysokim kwalifikacjom i ofiarnej pracy efektem były sukcesy młodych pięściarzy w mistrzostwach kraju juniorów. W 1975 r. Jacek Szymaniak został mistrzem Polski juniorów (rok wcześniej zajął trzecie miejsce). Sukcesy na początku lat 80. na szczeblu centralnym odnosił Tomasz Duda. Wcześniej trzecie miejsca zdobywali m.in.: Mieczysław Szałaj w 1961 r., Wiktor Kowalewski w 1962 i Zbigniew Janowicz w 1976.

Istotną formą rywalizacji bokserskiej były turnieje indywidualne. W ten sposób wyłaniano reprezentację województwa na spotkanie z innymi okręgami Polski (Opole, Koszalin, Poznań, Szczecin), a także kwalifikowano

zawodników na mistrzostwa kraju. Organizowane były także indywidualne mistrzostwa województwa. W 1952 r. na ringu w hali przy Wrocławskiej tylko dwóch bokserów zielonogórskich wywalczyło tytuły mistrzowskie: Franciszek Hajduga i Zygmunt Ratajczak (obaj reprezentowali Spójnię Zielona Góra). W walkach finałowych uczestniczyli bokserzy, którzy w następnych latach znaleźli się w Gwardii Zielona Góra. Byli to: W. Kostyszyn i J. Błaszkowski z Gwardii Gorzów oraz Marian Predygier i Edmund Losiak z Włókniarza Nowa Sól.

Sekcja Boksu WKKF na podstawie wyników osiągniętych w 1952 r. ustaliła tabelę dziesięciu najlepszych bokserów w poszczególnych kategoriach. W gronie wyróżnionych znaleźli się reprezentanci Gwardii Zielona Góra: F. Hajduga – pierwsze miejsce w wadze muszej, S. Czajkowski – trzecie miejsce w wadze piórkowej, J. Hajduga – drugie miejsce w wadze lekkiej, M. Predigier – trzecie miejsce w wadze lekkiej, W. Cerbiński – drugie miejsce w wadze lekkopółśredniej, M. Wodecki – pierwsze miejsce w wadze półśredniej, A. Domińczuk – drugie miejsce w wadze lekkośredniej i S. Sadowski – drugie miejsce w wadze ciężkiej. Na pierwszych miejscach sklasyfikowani zostali pięściarze Gwardii Gorzów: J. Błaszkowski w wadze koguciej i W. Kostyszyn w wadze lekkiej, którzy w następnym roku reprezentowali barwy Gwardii Zielona Góra.

W latach następnych w komentarzach prasowych z mistrzostw wojewódzkich

narzekano na małą ilość uczestników

(w 1955 r. tylko 57 zawodników) i na poziom zaprezentowany przez bokserów: „Słabą stroną zawodników walczących o tytuły mistrzowskie były głównie braki w opanowaniu dobrej techniki boksu; szczelnego krycia, czystych ciosów z każdej pozycji, dobrej pracy nóg i uników. (…) wiele walk stoczonych nieczysto i chaotycznie, gdzie ciosy zadawane przez pięściarzy przypominały młócenie cepami, a pojedynki w zwarciu – zapasy".

Jeszcze bardziej niekorzystnie bywało w latach następnych, bowiem w 1966 r. wystartowało zaledwie 31 bokserów reprezentujących zielonogórską Gwardię, Sokoła Gorzów i żarskiego Włókniarza. Gwardziści zdobyli dziewięć tytułów. W 1968 r. udział wzięło także 31 pięściarzy reprezentujących Stilon Gorzów, nowosolski Len i Gwardię Zielona Góra.

O słabnącym zainteresowaniu uprawianiem boksu świadczy statystyka z 1972 i 1973 r., gdyż w mistrzostwach okręgu zielonogórskiego uczestniczyło zaledwie 43 zawodników z czterech klubów. Najliczniejszą ekipę, 17 bokserów, wystawiła Gwardia. W wagach papierowej i muszej wystartowało zaledwie po dwóch zawodników. Niespodzianką była przegrana braci Olechów wskutek dyskwalifikacji. W tym kadłubkowym turnieju mistrzami reprezentującymi nasze miasto zostali (w 1972 r.): A. Graś, E. Laurentowski, J. Wiater, Z. Stasiełowicz, J. Kropiwa i T. Soroka.

Artur Olech (1940-2010) jako zawodnik wrocławskiej Gwardii podczas Igrzysk Olimpijskich w Tokio (1964) i w Meksyku (1968). zdobył srebrne medale w wadze muszej. W 1972 r., broniąc barw zielonogórskiej Gwardii, wywalczył brązowy medal na mistrzostwach Polski. *fot. Archiwum*

Opinie o zielonogórskim pięściarstwie poprawiły się po mistrzostwach Polski, w których J. Błaszkowski zdobył pierwszy w historii miejskiego boksu srebrny medal, a W. Żurawski i A. Domińczuk dotarli do ćwierćfinałów. Drużynowo w gronie 18 ekip Zielonogórzanie zajęli ósme miejsce. Pozytywnie oceniono też wyniki w mistrzostwach Polski w 1957 r., w których Stanisław Kolasiński i Jerzy Szymanowski zakwalifikowali się do półfinałów. Sukces J. Błaszkowskiego powtórzył, zdobywając srebrny medal w mistrzostwach Polski w 1960 r., Józef Górny, który jednak z powodu kontuzji ręki nie stanął do walki finałowej. Ponadto w ćwierćfinale znalazło się jeszcze czterech Zielonogórzan — Stanisław Hoffman, J. Pietrykowski, Klimkowski i Henryk Nowara. Medal brązowy z mistrzostw Polski w 1965 r. przywiózł Andrzej Sosnowski. Za sukces trzeba uznać wyniki w 1970 r., gdyż sześciu pięściarzy zakwalifikowało się do ćwierćfinału, a dwóch – Andrzej Jagielski i Z. Stasiełowicz – zdobyło brązowe medale. Ponadto brązowe medale mistrzostw Polski zdobywali: trzykrotnie A. Sosnowski – 1962, 1965 i 1967, także trzykrotnie A. Jagielski – 1968, 1969 i 1970 oraz Franciszek Malicki w 1964, Z. Stasiełowicz w 1970, A. Olech w 1972 i Zdzisław Salmonowicz w 1975 r.

Jerzy Sobich

Bieganie dla zdrowia i przyjemności

Nocny Bieg Bachusa, organizowany przez Lubuskie Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej, tradycyjnie jest sportową inauguracją Dni Zielonej Góry. Trasa 10 km przebiega ulicami miasta. LTKKF od 2003 roku organizuje półmaraton Przytok.

fot. Archiwum LTKKF

W ubiegłorocznym 40. Nocnym Biegu Bachusa uczestniczyło 347 osób, do mety dotarło 342. Zwyciężyli: Liliana Młynarczyk z Nowej Soli i Miłosz Bielak z Żar.

Pierwszy Nocny Bieg Bachusa odbył się w 1986 r. z udziałem 63 zawodników. W 2015 r. padł rekord – 790 amatorów biegania. W ubiegłorocznym biegu udział wzięło 347 biegaczy.

W biegach uczestniczyli goście z Niemiec, Holandii, Szwecji, Białorusi, Ukrainy i Kenii. W rywalizacji kobiet w 2016 r. najlepsza była Ukrainka Maryna Nemchenko. W 2017 r. zwyciężyła Kipchoge Pamela Jemeli z Kenii, w 2020 r. – Olga Kazimirowa z Ukrainy. Wśród mężczyzn w 2017 r. triumfował Kenijczyk Biwot Wycliffe Kipkorir, a w 2019 r. Andrii Starzhynskii z Ukrainy. Pięciokrotnie zwyciężał Adam Marysiak, trzykrotnie Sandra Nowak i Artur Olejarz. We wszystkich edycjach uczestniczył Zielonogórzanin Krzysztof Łuczak.

Organizatorzy starali się urozmaicać bieg, wprowadzając nowości lub organizując imprezy towarzyszące. W latach 2002–2003, wspólnie z biegaczami ścigali się niepełnosprawni na sportowych wózkach inwalidzkich. Od 2015 do 2020 r. w ramach biegu, na dystansie 5 km, rywalizowali uczestnicy Winobraniowego Marszu Nordic Walking.

Od 2003 do 2008 r. przed biegiem głównym odbywały się Biegi Służb Mundurowych na pięciokilometrowym dystansie rywalizowali policjanci, żołnierze, strażacy i funkcjonariusze służby więziennej.

W latach 2003–2006 Nocny Bieg Bachusa poprzedzały Biegi za Liderem, w których uczniowie szkół podstawowych i gimnazjów biegali ze znanymi sportowcami, między innymi z pięcioboistką Sulimą-Jagiełowicz i olimpijczykiem z Aten Radosławem Popławskim. W 2008 i w 2009 r. organizowano Winobraniowe Biegi Rodzinne.

Pomysłodawcą NBB, a także realizatorem wszystkich 40 edycji biegu jest prezes LTKKF Wacław Hansz.

*

Półmaraton Przytok powstał na zamówienie zielonogórskich biegaczy długodystansowych, którzy chcieli rywalizować na trasie dłuższej niż Nocny Bieg Bachusa. „Będąc w Przytoku pod koniec 2002 roku, zapytałem ówczesnego dyrektora Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii Bogdana Szafrańskiego, czy w okolicy znalazłaby się trasa na półmaraton – wspomina W. Hansz. – Wsiedliśmy do auta z Andrzejem Szarpakiem i pojechaliśmy drogami, którymi dziś biegają uczestnicy półmaratonu". Tak więc za współautorów trasy można uznać wspomniane osoby. 29 marca 2003 r. o godz. 11.00 na starcie pierwszego biegu stanęło 55 zawodników. Zwyciężył Leszek Bebło, olimpijczyk z Barcelony i Atlanty.

Bieg odbywa się przy ograniczonym ruchu na atestowanej trasie okrężnej, prowadzącej drogami asfaltowymi z Przytoku przez Droszków, Czarną, Zabór, Łaz do Przytoku. Różnica poziomów wynosi około 56 m. Na trasie są punkty z napojami w Czarnej i Zaborze. Start i meta znajdują się w parku przy ośrodku socjoterapii. Zapleczem organizacyjnym imprezy są obiekty sportowe ośrodka.

Tak jak zwycięzcy Nocnego Biegu Bachusa, najlepsi w półmaratonie otrzymują puchary, medale i nagrody rzeczowe. Prowadzone są indywidualne klasyfikacje generalne kobiet i mężczyzn oraz w 10 kategoriach wiekowych. Wszyscy uczestnicy biegu otrzymują pamiątkowe medale, a zawodniczki wiązanki kwiatów od mieszkańca Przytoku Bernarda Bielenia.

Rekordzistą wśród mężczyzn jest Łukasz Hryciuk, wśród kobiet Danuta Pietruszyńska, która triumfowała sześciokrotnie. W klasyfikacji generalnej mężczyzn trzy razy zwyciężali Dawid Pigłowski i Marcin Zagórny. Rekordową frekwencję zanotowano w 2013 r., kiedy to na mecie zameldowało się 367 zawodników.

Od 2023 r. w ramach tego półmaratonu odbywają się Adwokatów Mistrzostwa Polski, organizowane przez Okręgową Radę Adwokacką w Zielonej Górze. W latach 2007–2008 imprezami towarzyszącymi biegowi były festyny Powitanie Wiosny, organizowane przez Parafialny Zespół „Caritas" i przełajowe biegi Za Liderem, w których dzieci ze szkół podstawowych i gimnazjalnych w gminie Zabór biegały razem ze znanymi sportowcami lubuskimi.

W 2011 r. dziennikarze „Gazety Wyborczej" przeprowadzili akcję, w ramach której w lutym i w marcu odbyła się seria treningów przygotowujących zarówno początkujących, jak i zaawansowanych biegaczy do startu w półmaratonie. W treningach brały udział 104 osoby, a w kwietnia w barwach Drużyny Gazety wystartowało ponad 70 biegaczy. Akcja spowodowała znaczny wzrost liczby uczestników, a szczególnie kobiet. Rekord (367 biegaczy) odnotowano w 2013 r.

Od 2018 r. LTTKF organizuje Zielonogórski Bieg Niepodległości.

Andrzej Flügel

Nasze gwiazdy sportu

Zielona Góra miała w swojej historii i ma do dzisiaj wielu wybitnych zawodników w różnych dyscyplinach. Jedni pojawili się w naszym mieście tylko na czas startów, inni tutaj się urodzili, tutaj stawali na podium i zostali po zakończeniu kariery.

Oto naszym zdaniem najwybitniejsi sportowcy, którzy w barwach zielonogórskich klubów odnosili sukcesy. To nasz indywidualny wybór i pewnie wielu sympatyków sportu kogoś by do tej listy dopisało.

Andrzej Huszcza

Żużlowca Falubazu znają niemal wszyscy Zielonogórzanie i to nie tylko związani ze sportem, także ci, którzy z racji

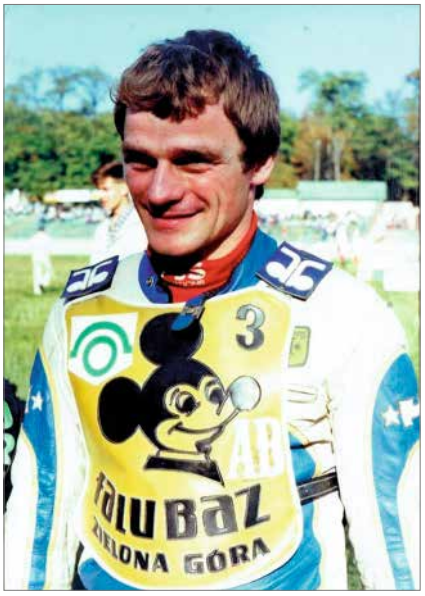

wieku nie mogą pamiętać, jak wygrywał na torze. Słowem A. Huszcza to ikona sportu w Zielonej Górze, symbol sportowca, który odnosił wielkie sukcesy, ale nigdy nie zadzierał nosa, był i jest powszechnie lubiany. Licencję uzyskał w 1975 roku. Przez 31 lat reprezentował Falubaz, dopiero w dwóch ostatnich sezonach swojej bardzo długiej kariery startował w PSŻ Poznań. Jeździł też w lidze angielskiej. Był podporą Falubazu, kiedy zespół zdobywał tytuły mistrzowskie w latach 1981, 1982, 1985 i 1991, srebrne medal w sezonie 1989 oraz brązowe w 1979 i 1984 r. Był wieloletnim reprezentantem Polski, zdobywając dwa brązowe medale Drużynowych Mistrzostw Świata. Po zakończeniu startów między innymi szkolił młodzież. Jest na każdym meczu Falubazu, zawsze służy radą młodszym zawodnikom.

Arkadiusz Skrzypaszek

To przykład zawodnika, który był związany z Zieloną Górą, a właściwie z Drzonkowem tylko w czasie kariery sportowej. Pochodzi z Oświęcimia, zaczynał, jak wielu pięcioboistów, od pływania. Pojawił się w Lumelu Drzonków jako wielki talent. Twierdził, że

jego najmocniejszą konkurencją jest szermierka. W 1991 r. został indywidualnym mistrzem świata w San Antonio, był też drugi w drużynie. Rok później podczas Igrzysk Olimpijskich w Barcelonie zdobył dwa złote medale: indywidualnie i z drużyną. To był dla niego wspaniały rok. Dość szybko zakończył karierę, wyjechał z Drzonkowa i zajął się biznesem. Jest absolwentem Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach.

Maciej Czyżowicz

Karierę sportową rozpoczął jako pływak w Szczecinie, skąd pochodzi. Jego marzeniem było uprawianie pięcioboju, o którym dowiedział się z telewizyjnych transmisji. W 1978 r. pokazał się w Drzonkowie na turnieju pięciobojowym. Trzykrotnie uczestniczył w Igrzyskach Olimpijskich (1988, 1992 i 1996). Największy sukces wywalczył w Barcelonie, gdzie w drużynie z Arkadiuszem Skrzypaszkiem i Dariuszem Goździa-

kiem zdobył złoty medal. Był siedmiokrotnym medalistą mistrzostw świata w pięcioboju i wicemistrzem Europy (1991). W 1985 i 1997 r. zdobył tytuł mistrza Polski. Ukończył Studium Medyczne w Zielonej Górze, zdobywając specjalność fizjoterapeuty. W 2003 r. wyjechał do USA, gdzie jest trenerem szermierki.

Dariusz Goździak

Urodził się w Sulęcinie, a pochodzi z Lubniewic. Był pięcioboistą z tego samego zaciągu, co M. Czyżowicz. Jego najsilniejszą stroną było strzelanie i bieganie. W Barcelonie podczas

Igrzysk Olimpijskich w 1992 r. w drużynie pięciobojowej z M. Czyżowiczem i A. Skrzypaszkiem wywalczył zloty medal. Na koncie ma cztery medale mistrzostw świata i Europy. W 1990 r. zdobył tytuł mistrza Polski. Karierę pięciobojową zakończył w 1995 r. Z Drzonkowa wyprowadził się do Tarnowa, a potem do Warszawy.

Małgorzata Książkiewicz-Kubka

Zielonogórzanka, którą do uprawiania strzelectwa namówił trener Stanisław

Marucha, kiedy odwiedził jej Szkołę Podstawową nr 14 i szukał talentów, które potem rozwijał w Gwardii. W przypadku M. Książkiewicz trafił w dziesiątkę. Zawodniczka szybko stała się czołową strzelczynią kraju w konkurencji karabinka 3x20 strzałów z trzech postaw. Była ośmiokrotną mistrzynią Polski, dwukrotnie stawała na podium mistrzostw Europy. Największy sukces uzyskała podczas Igrzysk Olimpijskich w Barcelonie w 1992, wywalczając niespodziewanie brązowy medal. Mieszka i pracuje w Zielonej Górze.

Sylwia Bogacka

Pochodzi z Jeleniej Góry, gdzie zaczynała karierę w tamtejszej Polonii, potem występowała w Śląsku Wrocław, wreszcie trafiła do zielonogórskiej

Gwardii, w której odniosła swoje największe sukcesy. Była czołową zawodniczką kraju w konkurencji karabinka 3x 20 trzy postawy i karabinka pneumatycznego 10 metrów. Jest wielokrotną medalistką mistrzostw Europy i świata, stratowała na czterech igrzyskach olimpijskich od Aten do Rio de Janeiro. Największy sukces odniosła w 2012 r. w Londynie, wywalczając srebrny medal w karabinku pneumatycznym 10 metrów. W swojej koronnej konkurencji, czyli w karabinku 3x 20 trzy postawy była bardzo blisko podium, zajmując czwarte miejsce. Do dziś jest związana z Zieloną Górą i Gwardią, startując i pomagając młodszym zawodniczkom, jak choćby Natalii Kochańskiej, która podczas igrzysk w Paryżu w 2024 r. zajęła szóste miejsce.

Lucjan Błaszczyk

Pochodzi z Lwówka Śląskiego. Zaczynał od piłki nożnej. Poszedł na turniej tenisa stołowego, który wygrał, a jeszcze zainteresował się nim trener miejscowego klubu. Potem jako nastolatek zadebiutował w drugiej lidze w zespole Zapłonu Jelenia Góra. Utalentowanego młodzieńca dostrzegli trenerzy Lumelu Zielona Góra. Zamieszkał w ośrodku

w Drzonkowie i jego kariera nabrała rozpędu. Kadra kadetów, potem juniorów, wreszcie seniorów. Szybko stał się czołowym tenisistą kraju. Przyszły sukcesy. Walczył w czterech Igrzyskach olimpijskich, w Atenach w deblu razem z Tomaszem Krzeszewskim byli blisko medalu. Dwanaście razy stawał na podium mistrzostw świata i Europy. Przez wiele lat startował w najmocniejszej na naszym kontynencie lidze niemieckiej. Wrócił do Drzonkowa, gdzie grał jeszcze przez kilka lat. Obecnie jest trenerem i menedżerem ZKS-u Drzonków, szkoli też pingpongistów zielonogórskiego Startu. Jest ,,człowiekiem orkiestrą" zielonogórskiego tenisa stołowego. Pod jego okiem pojawiają się nowe talenty.

Edward Czernik

Urodził się w Dublanach w dawnym województwie lwowskim. Po wojnie wraz z rodzicami przyjechał do Górzycy koło Kostrzyna. Zaczynał od futbolu, ale doznał kontuzji. Wystartował w zawodach szkolnych w skoku wzwyż i wygrał rezultatem 1,45 metra. Potem wygrał mistrzostwa województwa z Gorzowie, gdzie skoczył 1,55 m. Tam wypatrzył go trener Zbigniew Majewski i ściągnął do Zielonej Góry. Szybko pojawiły się sukcesy. Pierwszy rekord Polski 208 cm pobił w 1961 r.,

w sumie było ich siedem. Ten ostatni w 1964 r. – 2,20 m, uzyskany jeszcze stylem przerzutowym – był jednym z najlepszych rezultatów w tym czasie na świecie. E. Czernik rywalizował wówczas z Rosjaninem Walerym Brumelem, a ich rywalizację obserwował lekkoatletyczny świat. Wydawało się, że jest wielka szansa na złoty medal podczas igrzysk w Tokio w 1964 r. Niestety, nasz zawodnik zachorował i przystąpił do konkursu nie w pełni sił. Ostatecznie zaliczył zaledwie 2,06 m, co dało mu jedenaste miejsce. Ta trauma, jak później mówił, została z nim na długie lata. W sumie był pięciokrotnym mistrzem Polski. Ukończył Wyższą Szkołę Wychowania Fizycznego w Poznaniu i został trenerem. Przez lata wychował wielu dobrych skoczków, pracował też w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Wrócił do Zielonej Góry, zmarł w 2023 r.

Mariusz Kaczmarek

Do koszykówki trafił jako uczeń szkoły podstawowej. Już jako szesnastolatek zadebiutował w zespole seniorów Zastalu. Po maturze podjął studia na AWF-ie w Katowicach i przeniósł się do ekstraklasowego Zagłębia Sosnowiec. Z tym zespołem zdobył brązowy medal mistrzostw kraju. Potem grał w Gwardii Wrocław, a kiedy Zastal po raz pierwszy w historii awansował do najwyższej ligi, wrócił do Zielonej Góry i stał się podstawowym zawodnikiem zespołu. Grał bardzo widowiskowo, potrafił pięknymi akcjami rozstrzygać mecze, zdobywał wiele punktów. Kibice nazywali go czarodziejem parkietu. Grał w reprezentacji Polski. Karierę skończył bardzo wcześnie, bo w wieku 31 lat. Założył biznes, chciał wspomagać zespół,

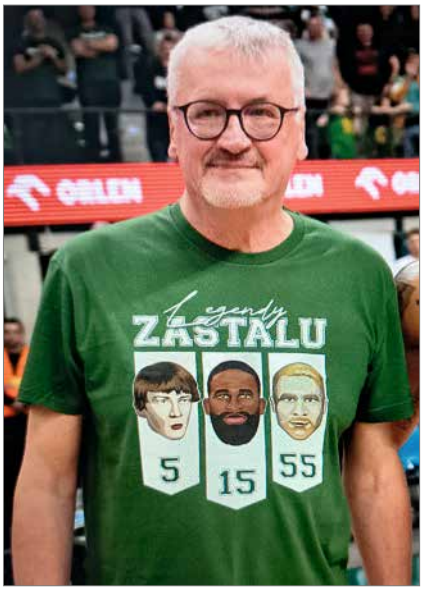

ale ówczesny trener nie zgodził się na mniejszy udział w zajęciach. Grał potem w amatorskich rozgrywkach, prowadził młodzieżowy klub, wspomagał Zastal w organizacji meczów. Mieszka w Zielonej Górze.

Zbigniew Spruch

Kolarstwem zaraził go ojciec, który był zawodnikiem i startował w wyścigach. Zaczynał razem z bratem, który dość szybko przestał jeździć. Kiedy

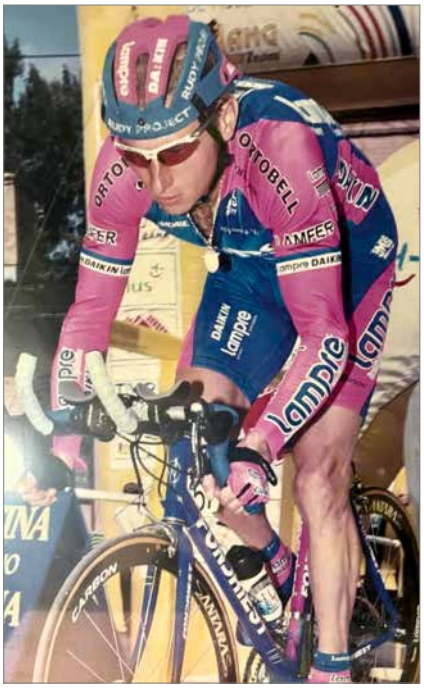

w 1978 r. w Zielonej Górze trener Kazimierz Prokopyszyn zorganizował grupę, zapisał się do niej. Miał wówczas 13 lat. Szybko przyszły sukcesy. Jako amator wygrał 120 wyścigów, był także mistrzem Polski. W 1992 r. przeszedł na zawodowstwo, zaczynał w grupie Lempre-Colnago. Startował w najsłynniejszym wyścigu świata, czyli Tour de France, także w Vuelta Espana. W 1995 r. wygrał Tour de Pologne. W 2000 r. we francuskim Plouay został wicemistrzem świata w wyścigu elity ze startu wspólnego. Po zakończeniu kariery był między innymi dyrektorem grupy CCC Polsat. Mieszka w Zielonej Górze, prezesował zielonogórskiej Trasie.

Piotr Protasiewcz

Jego ojciec Paweł był żużlowcem, więc i Piotr poszedł w jego ślady. Licencję zdał w maju 1991 r. w barwach Morawskiego Zielona Góra. Systematycznie

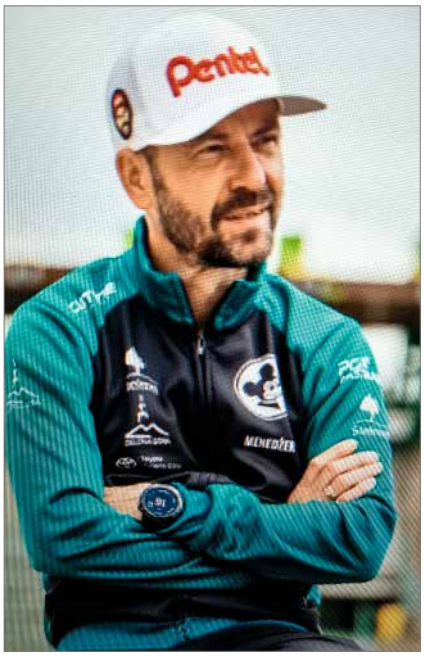

piął się po szczeblach żużlowego wtajemniczenia. Z Morawskiego przeszedł do Sparty Wrocław, potem występował w Polonii Bydgoszcz i Apatorze Toruń. W 2007 r. wrócił do Falubazu. W tym klubie w 2022 r. zakończył karierę. W 1996 r. w niemieckim Olching jako pierwszy Polak został indywidualnym mistrzem świata juniorów. Był wielokrotnym reprezentantem Polski, z drużyną wywalczył cztery medale. Startował także w ligach szwedzkiej,

angielskiej, rosyjskiej i duńskiej. Przez ostatnie trzy lata był dyrektorem sportowym Falubazu. Pod jego kierunkiem zespół bezapelacyjnie wygrał pierwszą ligę i powrócił do ekstraligi. W sezonie 2026 będzie dyrektorem sportowym Sparty Wrocław.

Czesław Bortnowski

Starsi kibice basketu do dziś wspominają, jak silny skrzydłowy walczył pod koszami z rywalami, jak nigdy nie odpuszczał. Zaczął od minibasketu w połowie lat siedemdziesiątych. Jego talent rozwijał się pod okiem trenera

Leonarda Siwickiego w zielonogórskim Zastalu. Jako juniorowi szansę debiutu w gronie seniorów dał trener Tadeusz Aleksandrowicz jeszcze w drugiej lidze. Szybko stał się czołowym zawodnikiem zespołu. Razem z Zastalem awansował w 1984 r. do ekstraklasy i wspólnie z kolegami tworzył ten niezapomniany zespół. Trener Arkadiusz Koniecki dał mu szansę gry w kadrze narodowej, w której wystąpił piętnastokrotnie. Niestety, seria groźnych kontuzji sprawiła, że musiał dość wcześnie zakończyć karierę. Ukończył Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Zielonej Górze, kierunek historia. Jeszcze będąc zawodnikiem pracował jako nauczyciel w Technikum Mechanicznym. Potem założył własną firmę parkieciarską. Można go spotkać na meczach Zastalu.

Adrian Sienkiewicz

Akrobata zielonogórskiej Gwardii zdobył pierwszy w historii tego klubu tytuł mistrza świata seniorów. Pochodzi

z Kołobrzegu, gdzie wypatrzył go trener i twórca jego sukcesów Bogusław Sułkowski. W skokach na ścieżce już jako junior osiągał sukcesy. Największy przyszedł w 1994 r. w Portugalii, kiedy zdobył tytuł mistrza świata seniorów. Na topie w tej konkurencji był przez kolejnych kilka lat. W 1996 r. wystąpił na Igrzyskach Olimpijskich w Atlancie w zawodach pokazowych premiujących tę dyscyplinę jako kandydata do włączenia do programu igrzysk. Po zakończeniu kariery wrócił do rodzinnego miasta. Ukończył studia prawnicze, ma biuro nieruchomości.

Anna Sulima-Jagiełowicz

Czytaj: „Piętnaście wejść na podium mistrzostw świata", str. 33-35.

Od redakcji

Historię zielonogórskiej koszykówki przedstawiliśmy w numerach 9 (X 2020 – III 2021) i 10 (III – IX 2021). O tym, jak rodził się żużel pisaliśmy w numerach 11 (X 2021 – III 2022), 12 (XI 2022 – III 2023), 13 (IV – XI 2023) i 14 (X 2023 – III 2024).

Zdjęcia: Archiwa klubowe i prywatne

Organizatorem konkursu jest Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica". Praca powinna mieć formę poetycką lub prozatorską (opowiadanie, legenda, esej). Ich tematyka jest dowolna. Praca musi jednakże w swej treści nawiązywać do tematu Zielonej Góry. Mile widziane teksty odnoszące się do wydarzeń, które miały miejsce w historycznej Zielonej Górze i przypadających w 2026 roku rocznic.

Prace nieprzekraczające 10 stron w trzech egzemplarzach (1800 znaków na stronie) należy przesyłać tradycyjną pocztą pod adresem: Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica", ul. Lisia 37, 65-093 Zielona Góra. Każda praca powinna być opatrzona godłem. W kopercie oznaczonej tym samym godłem należy umieścić: imię i nazwisko autora, adres, e-mail, numer telefonu. Przesyłkę należy podpisać „Konkurs na utwór zielonogórski". Ponadto utwór zapisany w formacie doc/docx) należy przesłać pocztą elektroniczną pod adresem: tmzg-winnica@o2.pl. W tytule maila proszę podać „Konkurs literacki".

Prace będzie oceniać jury. Nominowani zostaną poinformowani o tym drogą telefoniczną lub mailową. Uhonorowanie laureata nastąpi podczas gali w listopadzie br.

Nagrodą główną jest dyplom i wydanie książki laureata (który przekaże materiał do druku organizatorom konkursu do 31 maja 2027 r.). Termin nadsyłania prac – 30 września 2026 r.

Szczegółowy regulamin znajduje się na www.tmzg.org.pl.

Ewa Dura

Miasto misiów

Nasza opowieść zaczyna się latem, po południu, w pewną środę, tuż po porannym spacerze. Martynka i jej mama wróciły właśnie do domu, by zjeść obiad. Po posiłku Martynka zawsze kładzie się na popołudniową drzemkę. W czasie takiego odpoczynku w ciągu dnia dzieci rosną i nabierają siły do dalszej zabawy. Martynka o tym wie i chętnie każdego dnia śpi. Martynka nie jest wtedy sama. Śpi z nią miś Zdziś, jej najlepszy pluszowy kumpel.

Miś Zdziś jeździ też co dzień z Martynką jej wózkiem na spacery. Dziewczynka przytula go wtedy mocno albo trzyma za pluszową łapkę i razem z ciekawością oglądają świat. Tak było również dziś rano.

Ale teraz, po obiadku, już nadszedł czas na drzemkę. Leżąc w swoim pokoju, w swoim łóżeczku, dziewczynka prosi mamę:

– Mamusiu, przyniesiesz mi Zdzisia. Został w wózku.

– Dobrze córeczko – powiedziała mama i wyszła z pokoju.

Mama dłuższą chwilę nie wracała.

– Mamo?

– Zaraz przyjdę!

Zaraz trwa czasem za długo. Jak teraz.

– Mamo?

Do pokoju wróciła mama z bardzo zatroskaną miną.

– Martynko, nie wiem, gdzie jest twój miś. W wózku go nie ma.

– Mamo, mój miś!

– Miałaś go na spacerze, prawda? A przyniosłaś go do domu?

– Nie wiem – wyszeptała Martynka i na jej buzi pojawił się pierwszy zwiastun łez. Oczka jej się zaszkliły i na policzku pojawiła się mała, słona kropelka.

Martynka wstała spod kocyka. Płacząc, przekonała mamę, by poszukały misia razem. Ale misia nigdzie nie było.

Nie ma w domu misia Zdzisia!

– Musiałyśmy go zgubić, Martynko.

– Szukajmy go, mamo!

Tutaj musimy przypomnieć, że taki kumpel, jak miś Zdziś, dla małych dzieci to zawsze jest ktoś ważny. Ktoś, kto zawsze jest miły i mięciutki, zawsze go można przytulić i po prostu musi być blisko. Tak jak miś Zdziś.

– Mamo, miś musiał wypaść z wózka. Na pewno w parku. Chodźmy tam teraz.

– Dobrze, Martynko – zdecydowała mama. – Przebierzemy się i wrócimy do parku. Miś na pewno gdzieś tam na nas czeka.

– Na pewno, mamo!

– Może został koło kaczek? Albo przy tej ławce, gdzie jadłaś jogurt? Albo przy tym krzewie, gdzie wąchałyśmy kwiatki? Sprawdzimy, Martynko, wszystko sprawdzimy.

Najszybciej, jak się dało, wróciły do parku przy stawie, gdzie spacerowały o poranku. Jednakże misia nigdzie nie było. Ani po drodze na skwer, ani przy ławce, ani przy krzaczku, ani przy oczku wodnym, gdzie pojawiają się kaczki. Miś Zdziś zniknął.

I co teraz?

Mama podeszła do dzieci na placu zabaw. Wyjaśniła, co się stało. Ale nikt nie widział misia Zdzisia.

Rozżalona Martynka płakała. Jej serduszko bardzo tęskni za przyjacielem.

– Gdziee jeest mójj miiś?! – szlochała.

– Nie płacz, Martynko. Czasem się zdarza, że misie i inne zabawki się gubią, przecież wiesz.

– Mamoo! – Martynka była zrozpaczona. – On przecież sam nie wróci do domu. Jest taki mały. Mamoo!

Mama tuliła Martynkę, uspokajała, głaskała ją. Ale jak można przeboleć taką stratę? To przecież był przyjaciel Martynki. Najbliższy i najukochańszy. Tyle łez i rozpaczy w takiej małej dziewczynce. To smutek utraty kogoś bliskiego.

A ty, mały czytelniku, czy zgubiłeś kiedykolwiek ulubioną zabawkę? Na podwórku, w przedszkolu czy w parku? Wiesz, jaki smutek przynosi taka strata?

Martynka już wie, jak to jest. I jest jej z tym źle.

Wieczorem tato został z Martynką w jej pokoju, bo dziewczynka nie mogła zasnąć bez Zdzisia. Tato podawał jej inne maskotki, lecz żadna nie była tak miła w dotyku, jak miś Zdziś, takiej jak on wielkości i przyjaznego, znajomego kształtu.

– Chcę Zdzisia, tatko, chcę mojego misia.

Tato rozumiał smutek córeczki i długo ją głaskał i tulił, aż w końcu dziewczynka zasnęła. Lecz rano smutek wrócił. Razem ze łzami. I pustym miejscem na poduszce. Miejscem dla Zdzisia, martynkowego misia.

Po południu do Martynki przyszła ciocia Wiktoria. To siostra jej mamy. Gdy dowiedziała się, co się stało, zabrała smutną Martynkę na spacer. Poszły na stare miasto, do cukierni na muffinki, bo dziewczynka bardzo lubi te ciastka. Ciocia opowiedziała wtedy Martynce pewną historię. Zupełnie niezwykłą. Ona też, jako dziecko, zgubiła na podwórku swojego misia.

Będziesz zdumiony, mały czytelniku, co się okazało.

– Gdy byłam, Martynko, mniej więcej, w twoim wieku – opowiadała ciocia Wiktoria – zabrałam mojego miśka Stefana do piaskownicy. Mama mówiła mi, że to nie jest dobry pomysł, ale chciałam mu pokazać, jakie piękne piaskowe babki potrafię zrobić. Dość długo bawiłam się w piaskownicy z innymi dziećmi, potem byłam na trzepaku, potem na skwerku za blokiem, potem poszłam na obiad do domu, potem wróciłam do dzieci. I wtedy przypomniałam sobie o Stefanie. Ale jego nigdzie już nie było. I byłam tak smutna, jak ty jesteś teraz. I wtedy moja mama powiedziała, że misiek Stefan nie zginął. Bo przecież nasze miasto, to miasto misiów.

– Miasto misiów? Co to znaczy, ciociu?

– To znaczy, że misie, które przyjaźnią się ze swoimi dziećmi, potrafią dostrzec wśród innych dzieci na podwórku te najbardziej smutne. Dzieci bywają smutne z różnych powodów. Jednym z takich powodów może być brak pluszowego przyjaciela. I wtedy przyjazny miś postanawia pomóc takiemu dziecku. Mruga do niego plastikowym oczkiem, uśmiecha się delikatnie i nawiązuje nić porozumienia. Przyjacielskie misie szczęśliwych dzieci, takich jak ty Marynko, nie giną. One ruszają na pomoc innym smutnym dzieciom. Wiele miśków

trafia do domów takich dzieci, by dać im trochę radości. Nasze miasto pełne jest misiów. Misiów, które przypominają o sobie, wystarczy rozglądać się dookoła i szukać ich śladów.

– Śladów? Jakich śladów, ciociu?

– Takich, jak te, zobacz!

I Martynka zobaczyła misia. Na ścianie starego domu. Niezwykłego, rysunkowego, trochę jakby kosmatego. Ciocia powiedziała, że to miś graffiti. Czyli taki trochę bajkowy. Miał sympatyczny pyszczek, okrągłe oczy i rzeczywiście wyglądał przyjaźnie. Ciocia Wiktoria zabrała Martynkę na dalszą przechadzkę po starówce. To była prawda. W różnych miejscach w mieście zobaczyły kolorowe misie. Małe, duże, uśmiechnięte i te trochę jakby zamyślone. Wszystkie, bez wyjątku, należały kiedyś do szczęśliwych dzieci. I wszystkie, bez wyjątku, ruszyły kiedyś na pomoc smutnym maluchom, które nie miały swojej pluszowej przytulanki.

Martynka wróciła do domu w dużo lepszym humorze. Była smutna i tęskniła za Zdzisiem, ale jednocześnie myślała o dziecku, które teraz ma już przyjaciela. Jej przyjaznego misia. I wiedziała, że to dziecko nie jest już smutne. Bo miś Zdziś daje poczucie bezpieczeństwa, zawsze jest i jest mięciutki, gdy się do niego ktoś przytula. Teraz już trochę bardziej szczęśliwy ktoś.

Od rozmowy z ciocią Wiktorią Martynka i jej mama w czasie spacerów wypatrywały dookoła rysunkowych misiów graffiti. Widać je było w różnych częściach miasta. Kolorowe, małe i duże – było ich naprawdę sporo.

rys. Izabela Sak

– Wiesz mamo. Te misie mają przypominać dzieciom, które zagubiły swoich pluszowych przyjaciół, że one mają się dobrze i nie trzeba się o nie martwić. Dzięki nim ktoś zyskał przecież wspaniałego kompana.

– Tak na pewno jest, Martynko. Pewnie któregoś dnia znajdziemy gdzieś rysunek misia Zdzisia i będziemy wiedzieli, że jest szczęśliwy.

– Tak myślisz, mamo?

– Ja to wiem!

W następnych dniach, gdy Martynka jechała z rodzicami na zakupy albo do babci, zawsze wypatrywała przez okno samochodu kolejnych misiów. I wiesz co, mały czytelniku? One tam były. Rysunkowe misie widać było w różnych miejscach miasta. Na murkach, garażach, fasadach domów, widoczne były czasem z bliska, ale także czasem z daleka. Misie były w tak wielu miejscach.

W ten sposób Martynka dowiedziała się, że są one obecne wszędzie tam, gdzie co dzień chodzimy. Jednakże często przechodzimy obok nich, nie wiedząc o ich obecności.

Twoi rodzice, mały czytelniku, na pewno potwierdzą to, o czym tu teraz napiszę. Chodzi o to, że ludzie są bardzo zabiegani. Zajęci, zamyśleni. Sami lub ze swoimi dziećmi od rana gdzieś się spieszą. Stale się obawiają, że nie zdążą do swoich ważnych spraw, ważnych miejsc. I przez to są nieuważni. Wielu ciekawych rzeczy ze swojego otoczenia po prostu nie dostrzegają. Stop. Czas to zmienić. Możesz tego przypilnować wtedy, gdy spędzacie razem czas. Bo ten czas jest dla was, nie dla świata.

Martynka pamięta, co jej ciocia Wiktoria mówiła o tym, dlaczego ludzie nie zauważają misiów, chociaż jest ich aż tyle. Spiesząc się, nie rozglądamy się wokół, nie przypatrujemy się z uwagą naszemu miastu. A ono się zmienia z każdą porą roku. Miejscami pięknieje, miejscami traci swój urok, ale zawsze zasługuje na naszą uwagę. Gdy się przyjrzysz rysunkowym misiom, zauważysz, że pozdrawiają przechodniów. W ten sposób przypominają, że mieszkamy w mieście przyjacielskich misiów. Dzięki nim jest przecież mniej smutnych dzieci.

– Ciociu, ale czasem wszyscy się spieszą. Może wtedy misie się chowają? Dlatego nikt ich nie widzi?

– Raczej nie, misie są tu stale. To my ich nie widzimy. Dlatego takie ważne jest, by znaleźć czas dla swoich bliskich. Czas, gdy się nie śpieszymy i razem poznajemy świat. Choćby ten najbliższy, jak nasze miasto. Miasto misiów.

Martynka jest oczarowana historią o misiach. Czasem myśli, że jej miasto jest takie... jakby czarodziejskie. Bo misie są naprawdę. Rysunkowe misie są wśród nas. Wszędzie.

Martynka już się pogodziła z rozstaniem z misiem Zdzisiem. Wie, że tak musiało być. Jednakże bardzo chciałaby mu przekazać, że nadal o nim myśli i tęskni. Martynka poprosiła zatem mamę o przygotowanie wiadomości dla misia Zdzisia i jego nowego właściciela.

– Mamo, chciałabym coś przekazać misiowi Zdzisiowi. Taką wiadomość. Ode mnie dla niego, żeby wiedział, że o nim myślę.

– Jak miałybyśmy to zrobić, córeczko?

– Zostawić wiadomość tam, gdzie widzieliśmy się ostatni raz.

– Hmm – zamyśliła się mama. – Może zrobimy ogłoszenie? I powiesimy je na skwerku?

– To dobry pomysł.

Ogłoszenie postanowiły powiesić przy jeziorku z kaczkami, gdzie miś był z nimi ten ostatni raz. W ten sposób Martynka chciała pozdrowić swojego przyjaciela i jego nowego właściciela.

Ogłoszenie było takie: Mój miś nazywa się Zdziś. Jeśli go znalazłeś kilka tygodni temu na tym skwerku – Mały Przyjacielu lub Droga Koleżanko – bądź dla niego dobry. Zdziś lubi smyranie za uszkiem i głaskanie po brzuszku. To dobry i miły

miś i chcę, by teraz był Twoim przyjacielem. Znalazłeś go nie bez przyczyny, to miś, który leczy małe i duże smuteczki. Wystarczy mocno go przytulić. Ja tak robiłam i zawsze poprawiał mi humor. Pozdrawiam Was. Martynka

Pod tekstem Martynka narysowała Zdzisia tak, jak potrafiła najładniej. Może nie był on do siebie bardzo podobny na tym rysunku, ale kolor i kształt miał ten sam. Z pewnością było widać, że to właśnie ten miś.

W ten sposób Martynka ostatecznie pożegnała się ze swoim kumplem, z którym spędziła kiedyś dużo czasu. Bo to był dobry, wspólny czas, o którym Martynka nigdy nie zapomni.

Kilka minut po tym, jak mama Martynki powiesiła w parku ogłoszenie, podeszła do niej jakaś pani. Martynka tego już nie widziała. Od kilku chwil bawiła się z innymi dziećmi w piaskownicy, zajęta wybieraniem foremek i kopaniem.

Pani miała ciemne włosy i ciemne, smutne oczy. Usiadła na ławce obok mamy Martynki i powiedziała:

– Widziałam, że to pani powiesiła ogłoszenie o zaginionej zabawce. Pani córka musi bardzo tęsknić za tym misiem, prawda?

– Zgadza się, Martynka bardzo przeżyła rozstanie z przyjacielem.

– To ja znalazłam tego misia. Kilka tygodni temu. Leżał przy tamtej ławce. Pytałam dzieci, które spotkałam wtedy na skwerku, ale to nie był ich miś. Więc wzięliśmy misia do domu.

– Wzięliście? Nie była pani sama?

– Byłam tu na spacerze z moim synkiem. Bawi się z dziećmi tam, przy huśtawce.

Mama Martynki zobaczyła chudziutkiego, bladego chłopczyka, nieco młodszego od jej córeczki, który miał takie same oczy, jak jego mama.

– To mój Wojtuś. Pewnie się pani dziwi, że jest lato, a mój synek jest taki... mizerny. Wojtek spędził ostatnio dużo czasu w szpitalu. Od dawna choruje. Rzadko możemy tak jak dziś być razem w domu czy wyjść wspólnie na skwerek. Wojtek nie zawsze ma na to siły.

Rzeczywiście Wojtek trzymał się jakby na uboczu, bardziej obserwował dzieci, niż sam się bawił. Ale było widać, jak bardzo się cieszy, że jest wśród dzieci.

– Wojtek polubił tego misia, teraz zabiera go ze sobą do szpitala. Ale jeśli pani chce, oddamy go pani córce.

Mama Martynki spojrzała na swoją radosną córeczkę, która z energią klepała plastikowe foremki, przechwalając się z koleżankami, która zrobiła ładniejszą babkę. Potem spojrzała na nieśmiałego chłopczyka, który stał przy huśtawkach.

– Moja córka już się przyzwyczaiła do tego, że misia z nami nie ma. Moja siostra opowiedziała jej, że miś się nie zgubił, tylko odszedł do innego dziecka. Do dziecka, które potrzebuje pociechy i przyjaciela. – Mamie Martynki zadrżał głos. Patrzyła w smutne oczy mamy Wojtka i widziała w nich swoje obawy o zdrowie własnego dziecka. Takie myśli ma – czasem każdy rodzic. Jednak jej dziecko jest zdrowe.

– A Wojtek? – spytała. – Co mu jest?

– Wojtek jest przewlekle chory. Ale lekarze mówią, że będzie lepiej. Są nowoczesne leki, kuracje, jesteśmy dobrej myśli. Trzeba mieć nadzieję – powiedziała sympatyczna pani, uśmiechając się leciutko.

Mama Martynki patrzyła na tę miłą kobietę. Tysiąc myśli kłębiło jej się w głowie. Choćby ta, że to niesprawiedliwe, że taki mały chłopiec choruje. Pomyślała też, że jego mama to musi być wspaniała i silna osoba. A ona – mama Martynki – sama nie wie, jakby zniosła taką sytuację, gdy ma się chore dziecko.

– Niech się pani nie martwi – powiedziała mama Martynki. – Martynka już wie, że mieszkamy w mieście misiów.

– Mieście misiów?

– Tak, niech pani spojrzy. – I mama Martynki włączyła swój telefon, wyszukała w nim zdjęcia misiów graffiti, które napotkały z córką w czasie spacerów po mieście. Ile ich było, trudno zliczyć. – Widziała je pani gdziekolwiek?

– Jednego czy dwa, są blisko naszego domu.

– Martynka myśli, że te misie graffiti odzwierciedlają misie-maskotki, które znikają po to, by inne dziecko zyskało sprawdzonego przyjaciela. Innymi słowy, wierzy, że jej miś Zdziś odszedł do smutnego dziecka, by je pocieszać.

– Naprawdę tak myśli? Dlaczego?

– Tak jej to wytłumaczyła moja siostra. To piękna historia, prawda? A teraz niech pani sama przyzna. Choć trudno jest w to uwierzyć, w tej historii jest ziarenko prawdy. Teraz to widzę.

Mama Wojtka patrzyła na mamę Martynki. Bez słowa. I po chwili jej twarz się rozpromieniła.

– Ma pani rację, ta opowieść jest prawdziwa. Mój Wojtek zyskał przyjaciela. To niesamowite.

Gdy obie kobiety spojrzały w stronę bawiących się dzieci, zobaczyły, jak Martynka instruuje Wojtka, jaki piasek jest najlepszy do robienia piaskowych babek. I chłopiec z zapałem zaczął kopać dołek obok siebie i napełniać kolejne foremki.

– Myślę, że Wojtek znalazł więcej, niż jednego przyjaciela – mama Martynki uśmiechnęła się szeroko do mamy Wojtka. – A moja córka ma nowego kolegę.

Od czasu poznania się w parku obie mamy się zaprzyjaźniły. Tak jak ich dzieci. Razem spotykali się na skwerku, spacerowali na mieście, a nawet byli w kinie. To były bardzo miłe spotkania.

Gdy Wojtek kilka dni spędził w szpitalu, Martynka i jej mama go tam odwiedziły. Martynka nie bała się szpitala. Nigdy w nim wcześniej nie była. Przyszła tu ze swoją mamą, która mocno trzymała dziewczynkę za rączkę. Jak myślisz, drogi czytelniku, kogo tam jeszcze spotkały? Kto był w szpitalu z Wojtkiem i jego mamą?

– Mamo, to miś Zdziś. To mój mały miś! – Martynka pełna emocji szeptała mamie na ucho.

– Pamiętasz, jak ciocia Wiktoria opowiedziała ci, że Zdziś postanowił zaprzyjaźnić się z jakimś smutnym dzieckiem? Twój przyjaciel dowiedział się, że Wojtek potrzebuje wsparcia i, zobacz, są tu teraz razem.

– Mamoo – Martynka nie mogła uwierzyć – mój miś jest po prostu wspaniały.

– Sama widzisz, że Zdziś znalazł kogoś, kto go potrzebował bardziej niż ty. Zgodzisz się ze mną?

Martynka patrzyła na Wojtka, który miał do ręki przyczepiony wężyk, a w tym wężyku coś kapało. Drugą ręką chłopiec przytulał misia Zdzisia. Wojtek musiał leżeć nieruchomo, a jego mama głaskała go po głowie. Dziwne to było.

– Tak, mamo, Zdziś jest tutaj potrzebny.

Po chwili Martynka wypytywała Wojtka o wszystko, co ją tutaj zaciekawiło.

– Co ci tam tak kapie? Czy to boli?

– Nie boli, tylko jest takie zimne.

– Zimne? A długo tu zostaniesz? Bo wiesz, znalazłyśmy nowego misia graffiti. Mamo, pokaż zdjęcie.

I pokazały Wojtkowi nowego misia z miasta misiów. I ten miś wyglądał tak trochę, jak miś Zdziś!

Którejś soboty o poranku, gdy tatuś Martynki poszedł do sklepu po świeże bułki, ktoś zadzwonił do drzwi. Mama Martynki otworzyła drzwi, lecz nikogo tam nie było. Za to na wycieraczce było coś.

Dziewczynka, stojąc za mamą w przedpokoju, zobaczyła na wycieraczce papierową torebkę. Taką jak na prezenty. Tylko zupełnie niekolorową. Dziewczynka patrzyła z niedowierzaniem. Mama podniosła torebkę, a przy niej zobaczyła bilecik.

– Tutaj coś jest napisane, Martynko.

– Co jest napisane, co?

– „Szukam domu i swojej małej dziewczynki" – przeczytała.

– Co to znaczy, mamo?

– To chyba znaczy, że to prezent dla ciebie, Martynko.

– To dla mnie, naprawdę? Od kogo?

– Nie wiem, Martynko, to jakaś niespodzianka.

– Jak niespodzianka, to sprawdzę, co jest takiego niespodziewanego w środku.

– Sprawdź szybciutko – zachęcała mama.

Torebka była z brązowego papieru, nie taka kolorowa, jak te z prezentami na urodziny. Nie miała też kolorowych wzorków jak opakowania podarunków od Świętego Mikołaja. Dziwne jest to wszystko. A jakie jest to coś w środku?

Martynka sprawdziła. A w środku był miś. Podobnej wielkości jak miś Zdziś, ale jednak był to zupełnie inny miś. Miał mniejsze uszka, inne futerko, oczka miał inne i taki śmieszny mały pyszczek. Bardzo sympatyczny pyszczek.

– Martynko, ten miś wygląda na kogoś, kto szuka przyjaciela.

– Ja też tak myślę. To jakiś zupełnie niczyi miś, skoro tu przyszedł, prawda?

– Zdecydowanie ten miś wygląda na niczyjego misia – powiedziała mama. – A to oznacza, że jeśli zechcesz, od dziś będzie twoim nowym przyjacielem.

– To bardzo ładny miś. Chcę mieć takiego przyjaciela.

W ten właśnie sposób w Martynki pokoju zamieszkał miś Karol. Wyglądał na Karola, to było oczywiste. Od pierwszego wyciągnięcia go z brązowej torebki.

Miasto misiów istnieje naprawdę. Nazywa się Zielona Góra i wszędzie, dosłownie wszędzie, można zobaczyć misie graffiti. Misie są różne, nie zawsze da się je od razu rozpoznać. Ale są. W dziesiątkach miejsc ich sympatyczne pyszczki uśmiechają się do przechodniów, którzy w codziennym zabieganiu podnoszą głowę, by rozejrzeć się dookoła. I zobaczyć przyjacielskie misie, które pospieszyły z pociechą smutnym dzieciom. To nie bajka. To prawdziwa historia. Historia, która dzieje się co dzień w tym mieście. Wystarczy się uważnie rozejrzeć.

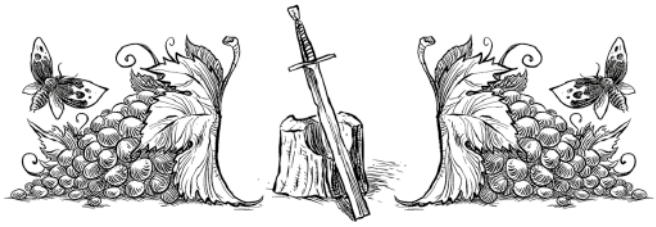

Agnieszka Ginko

Katharina Funcke z Łężycy

Niech pod kotłem żar się żarzy,
Niech z bulgotem war się warzy!.
William Szekspir, *Makbet*

Deszczyk pada,
słońce świeci,
czarownica masło kleci.

Ja, Katharina Funcke, nie jestem czarownicą.
To jest śpiew pokrzywy:
młode listki ususzyć, napary parują,
wcierać w ciało, oczyszcza się krew.
W 84 roku życia zeznaję,
że leczyłam żonę sąsiada,
a przy jej łóżku wykopałam dołek
na kamyki i zioła.
To jest śpiew mojej matki:
wióry, siano i słomę w piec wrzucić,
dobry ogień, dobry chleb.
Sąd Miejski w Grünbergu ogłasza,
że Katharina Funcke poddana badaniom
już przy torturach pierwszego stopnia
do wszystkiego się przyznała.

Puśćcie mnie tam, gdzie konary, mech, mrówki,
rowy poziomkowe, chaszcze malinowe,
puśćcie mnie.
Przeze mnie padły dwa woły w Ochli,
a krowy zrzuciły płód.
Przeze mnie chorowała żona sąsiada,
od polskiej wiedźmy nauczyłam się czarów
na rozstaju dróg.
Przeze mnie i wszystko przeze mnie.
Sąd Miejski uroczyście ogłasza, że stara Funcke
zostaje jako czarownica ścięta,
a następnie spalona.

Deszczyk pada,
słońce świeci,
czarownica masło kleci,
co ukleci, to wnet zjada,
myśli, że to czekolada.

Anna Jeschke z Przylepu

Ich słowa wydają się słodkie jak miód
a w zasadzie są bardziej gorzkie niż sam piołun.
Są rozkoszne, gdy się na nie patrzy,
wstrętne, gdy się ich dotyka.

Heinrich Kramer, Jacob Sprenger,
Młot na czarownice (*Malleus Maleficarum*)

Jesteś ropuchą, Anno,
bezbożną żmiją,
parszywym językiem.
Jesteś pustym workiem,
próżnością i kłamstwem.
Po oskarżeniu przez pobożnego prokuratora
postanowił sławetny sąd:
przez szkaradne grzechy i czyny
Anna Jeschke ma być żywcem
przez ogień życia pozbawiona.
Jesteś puchem, pyłem,
luterańską zarazą.
Przy torturach do wszystkiego się przyznała,
a oto jej wspólniczki:
Anna Stache, Sabina Grasse i Anna Neuman.
Jesteś nędzną i zawisną istotą,
aż po kości, stawy i po szpik.

Wyrok podpisujemy:
Mattheo Demoreno, J. Adam Scribanus, Melchior von
Landskrone, Johann Berthold, Johann Gregorius Cletus,
Christoff Hirte, Abraham Gabler.

rys. Igor Myszkiewicz

Marek Jurgoński

Zielona Góra fraszkami utkana

Agrestowa

Zagadka: na AGRESTOWEJ,
cierpki, zakręcony, kłujący.
Nie kompot z agrestu w słoiku –
satyryk o swym mieście piszący.

Chmielna

Trudno do Królestwa Bożego
wejść przez ucho igielne;
trudniej na chłodne piweczko
nie wstąpić w upał na CHMIELNEJ.

Długa

Inflacjom i długom
chcesz rzec: bye, bye?
O ekonomistki
z DŁUGIEJ lepiej dbaj.

Geodetów

Od wełnianych beretów wyzywają
ci z GEODETÓW tych z Geometrów;
ci z Geometrów tych z Geodetów
od wełnianych wyzywają swetrów.

Nowy Kisielin-Modrzewiowa

Gdyby tak Modrzejewska Helena
ujrzała MODRZEWIOWĄ, choćby w kinie,
nie marzyłaby o Nowym Jorku,
tylko o Nowym Kisielinie.

Prosta

PROSTEJ te kręte
trują natrętnie:
wejdź z nami w zakręt!
– Z wami w zakręt? Nie!

Racula-Podolska

Ta Apatyczna –
senna mimoza,
a ta PODOLSKA –
największy kozak.

Rydza-Śmigłego

Są ludzie i są ulice,
co tęsknią za przeszłością.
RYDZA-ŚMIGŁEGO należy
do takich ulic z pewnością.

Marta Ruszczyńska

Podróż po magicznym Dolnym Śląsku

Ewa Iwona Wierzbicka mieszka w Stalowej Woli. W 2024 roku jej opowiadanie zwyciężyło na utwór o tematyce zielonogórskiej, zorganizowany przez nasze stowarzyszenie. Nagrodą było wydanie książki autorki, która ukazała się pod koniec 2025 r.

Tytuł powieści „Bez światłocienia" Wierzbickiej może być dla czytelnika mylący, bo w potocznym rozumieniu definiuje prozę, której bohaterowie jak i świat przedstawiony zostali nakreśleni grubą kreską bez pogłębionego realizmu. Tak jednak nie jest i interpretacja tej powieści w obrębie wspomnianej poetyki okazałaby się nieprawdziwa. Ten metaforyczny tytuł zaczerpnięty został z wiersza C. Norwida „Moja piosnka (II)", odnosząc się do istniejącego tam słowa-klucza, dlatego warto przytoczyć jego fragment wraz z całym zwrotkowym kontekstem – „Do bez-tęsknoty i do bez-myślenia, Do tych, co mają tak za tak – nie za nie – Bez światło-cienia... Tęskno mi, Panie". We wskazanym fragmencie „ja" liryczne wyraża całą swoją tęsknotę za rzeczywistością idealną, której nie odnajduje we współczesnym świecie. To odwołanie się do poezji Norwida wydaje się konieczne, gdyż powieść Wierzbickiej gęsto inkrustowana jest jego wierszami, toteż dla uważnego czytelnika wiersze autora „Promethidiona" zdają się być jakby drugim bohaterem tej powieści, a są z pewnością kluczem do jej interpretacji. Jednak tym najważniejszym bohaterem jest Hubert, absolwent ASP, rzeźbiarz tworzący w kamieniu, który w Górach Kaczawskich wśród domów o „charakterystycznej przysłupowej i sztachulcowej konstrukcji" odnajduje swoją wymarzoną krainę jak z baśni Andersena, gdy może nazbyt spontanicznie, będąc we wsi Gruszków na terenie Rudawskiego Parku Krajobrazowego, pod wpływem chwilowego impulsu kupuje zabytkową stodołę, w której odkrywa to jedyne miejsce na Ziemi, gdzie ma poczucie „że daje mu ono wszystko". Całe zdarzenie o odnalezieniu baśniowej krainy w Karkonoszach stanowi tylko punkt wyjścia tej powieści na początku obyczajowej, ale w subtelny sposób zmierzającej w kierunku fantastyki, a właściwie tej jej odmiany, będącej formą fantasy osadzonej w historii.

Francuski badacz literatury popularnej Roger Caillois w książce „Odpowiedzialność i styl" wyróżnia kilkanaście najczęstszych emblematycznych motywów fantastyki, z jakimi mamy do czynienia w literaturze. Niewątpliwie należy do niej tajemniczy przedmiot-amulet, za pomocą którego możemy przemieszczać się w czasie i przestrzeni, zarówno rzutem w przeszłość, jak i w przyszłość. Motyw tego rodzaju temporalnych perygrynacji ma w literaturze i kulturze popularnej swoją już utrwaloną tradycję. Jednakże autorka nadaje mu w powieści zdecydowanie nowy i inspirujący charakter. Przy okazji podróży bohatera w przeszłość odkrywamy historię Dolnego Śląska, który miał swoją odrębną unikatową przeszłość, zapisaną w gęsto porozsiewanych na tym obszarze zamkach i zabytkach sztuki sakralnej, które od późnego średniowiecza aż do wojny trzydziestoletniej zwiedzamy wraz z Hubertem, a wszystko to za sprawą tajemniczego dłuta „niezostawialnego" z kamykiem lapis lazuli. I wraz z bohaterem zgłębiamy tajemnice husyckiej religijności, to znów idei reformacji zamkniętych w dziejach kolejnych posiadaczy zamkowych rezydencji Dolnego Śląska; zaglądamy też do traktatów ezoteryczno-mistycznych różokrzyżowców, a także poznajemy mistyków tych ziem, choćby w osobie niezwykłego szewca Jacoba Bőhme, rodem ze Zgorzelca, którym w dobie romantyzmu zachwycał się Mickiewicz, a po nim Miłosz i inni.

Książka Wierzbickiej odsłania przed nami te nieznane pokłady małoznanej i złożonej historii tych ziem i ich pogranicznej kultury, na horyzoncie pojawia się również XVII-wieczny Łagów i jego „mistyczna drukarnia", a narracja z historycznej fantasy powoli przechodzi w powieść filozoficzną o dawnych poszukiwaczach i odkrywcach tajemnic na styku nauki i mistyki. Powieść „Bez światłocienia" z pewnością nie jest łatwą lekturą, ale wynagradza czytelnikowi ten trud, gdyż pisana jest pięknym językiem, często poetyckim, lekko archaizowanym, pokazuje i przybliża historię „magicznego" Dolnego Śląska, który często w reklamujących ten obszar sloganach kojarzy się z okolicznymi festynami, targami ceramiki czy gotyckim party na zamku w Bolkowie. Natomiast zdecydowanie w małym stopniu z poszukiwaniami lokalnych mistyków i sztuką włoskiego renesansu, która w miejscowym krajobrazie, nieprzypadkowo kojarzonym z Toskanią, nabierała swoistego niepowtarzalnego piękna. Jeżeli do tego dodamy jeszcze wiersze Norwida, które w tej mistycznej wędrówce „uczestniczą", to książka Wierzbickiej staje się niezwykle interesującą i ambitną propozycją nie tylko dla bardziej wymagającego czytelnika, ale także dla zwykłego turysty wybierającego się w Karkonosze. Bo na jej kartach ożywa ten „magiczny" Dolny Śląsk w postaciach lokalnych raubritterów, panów okolicznych zamków, ale też „śląskich myślicieli", rozkwitają zabytki architektury i kultury świata odległego, ale wciąż urzekającego swoją unikatową i nieznaną historią.

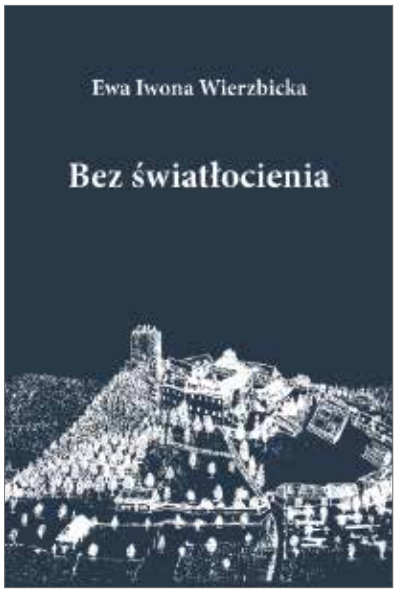

Ewa Iwona Wierzbicka, „Bez światłocienia", Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica", Zielona Góra 2025, 272+2 s.

Eugeniusz Kurzawa

Pierwsze lubuskie poezje zebrane

Ukazały się wreszcie, 13 lat po śmierci autora, „Poezje zebrane" Andrzeja K. Waśkiewicza. Można oczywiście żachnąć się na owo „wreszcie", cóż to jest bowiem w życiu literackim 13 lat oczekiwania na druk, na dodatek dzieł zebranych.

Wielu wybitnych twórców dłużej czekało na swoje opera omnia. Tym bardziej że Waśkiewicz – wbrew zasadom, iż poeci tuż po śmierci trafiają do pisarskiego czyśćca – był i jest przez cały okres obecny wśród czytelników. Zawdzięcza to swojej żonie, Annie Sobeckiej, jak też gronu przyjaciół. Złożyło się na tę obecność kilka pozycji wychodzących średnio co dwa lata od momentu jego odejścia w 2012 r. Wyliczmy. Wspomnienia: „Andrzej K. Waśkiewicz. Miejsca opuszczone" (2012) i „Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca odwiedzane" (2014) oraz „Andrzej" (2017), dwie pozycje krytycznoliterackie AKW: „Lubuskie środowisko literackie. Szkice z lat 1962-2012" (2014) i „O literaturze lubuskiej (szkice, recenzje mi inne teksty" (2016), dalej prace okołoliterackie: „Relacje: Warszawa – Zielona Góra, Gdańsk" (2018), czyli listy Waśkiewicza i Jerzego Leszina, „Dedykacje (dla Andrzeja K. Waśkiewicza)" (2023), a także nietypowe dla poety „Jedzenie jest niezdrowe. Ale przyjemne" (2016, 2017). Znakomitą podpórką dla pamięci o twórcy jest przyznawana w Zielonej Górze środowiskowa Nagroda Literacka ZLP im. Andrzeja K. Waśkiewicza, a także (były) odbywające się w Wilkanowie w latach 2012-2016 Andrzejki Waśkiewiczowskie.

Niemniej jednak dla poety najważniejszym dorobkiem pozostaje twórczość wierszowana i dlatego na pojawienie się utworów Waśkiewicza oczekiwali jego czytelnicy i przyjaciele. Doczekali się dwutomowego zbioru poezji przygotowanego do druku przez prof. Mariana Kisiela z Uniwersytetu Śląskiego ze wstępem tegoż i opracowaniem krytycznym. Dla środowiska lubuskiego dwa tomy AKW są ważne również dlatego, że po raz pierwszy w polskiej historii literatury na środkowym Nadodrzu ukazują się właśnie dzieła zebrane. Żaden z autorów, który tworzyli tutaj po drugiej wojnie światowej nie doczekał tego rodzaju summy.

Pierwszy z tomów jest w zasadzie lubuski. Redaktor pracy zbudował bowiem obie księgi zgodnie z chronologią ukazywania się poszczególnych tomików wierszy. Waśkiewicz debiutował w 1963 r. arkuszem „Wstępowanie", wydanym przez Lubuskie Towarzystwo Kultury. Potem notujemy: „Strefę pamięci" (1965), „Dziedzictwo" (1966), „Przestrzeń po człowieku" (1967), „Próbę uzasadnienia" (1970), „Zapis z nieobecności" (1971), „Tożsamość" (1973) i „Bezsenną jawę" (1977). A zatem do dnia wyjazdu z Zielonej Góry w 1979 r. napisał tutaj aż osiem zbiorów wierszy. Potem jeszcze muzealny tomik „W granicach doświadczenia" (1994) i „Horyzont zdarzeń" (1999). I ten dorobek stanowi niemal połowę „Poezji zebranych".

Utwory składające się na tom drugi powstały w Gdańsku. Dzieło jest imponujące, gdyż oprócz drukowanych wierszy kryje się w nim (i za nim) interesująca konstrukcja teoretycznoliteracka (formulizm), a w wielu wstępach i posłowiach do tomików (publikowanych w opracowaniu ksiąg) odczytamy filozofię budowaną przez poetę na użytek własnej twórczości. Podczas zielonogórskiej promocji „Poezji" w bibliotece Norwida prowadząca prof. Małgorzata Mikołajczak, jak też prof. M. Kisiel wielokrotnie odnosili się do zawartych w wierszach AKW intrygujących przesłań, tropów, odnośników, co wywołało interesującą dyskusję wskazującą, iż utwory poety są nadal żywe i odbierane w różnych interpretacjach.

Do tej pory (zima 2026) ukazały się nieliczne omówienia „Poezji zebranych". Dokonał tego prof. Tadeusz Budrewicz na lamach „Kroniki według Muzeum im. Marii Konopnickiej w Suwałkach" (2025 nr 3/64), a M. Kisiel przedstawił i zarekomendował oba tomy w gdańskich „Migotaniach" (2025 nr 3/88). Z zaciekawieniem przeczytałem recenzję T. Budrewicza. Zawiera jednak głównie rozważania na temat poematu AKW „Młot" (notabene o „Młocie" pisał również wiele lat temu – uważając go za najlepszy poemat Waśkiewicza – poeta Czesław Sobkowiak: „Zszyć co rozdarte"; „Komunikaty" 1995, nr 5, s. 16). W ostatnich latach obszerne, analityczne teksty o Waśkiewiczu-poecie zostały przedstawione między innymi przez krytyka Leszka Żulińskiego, prof. Jana Kurowickiego czy prof. Janusza Kryszaka. Publikowali je w kilku miejscach, ale wszystkie opinie łatwo znaleźć w pracy „Andrzej" zredagowanej przez A. Sobecką.

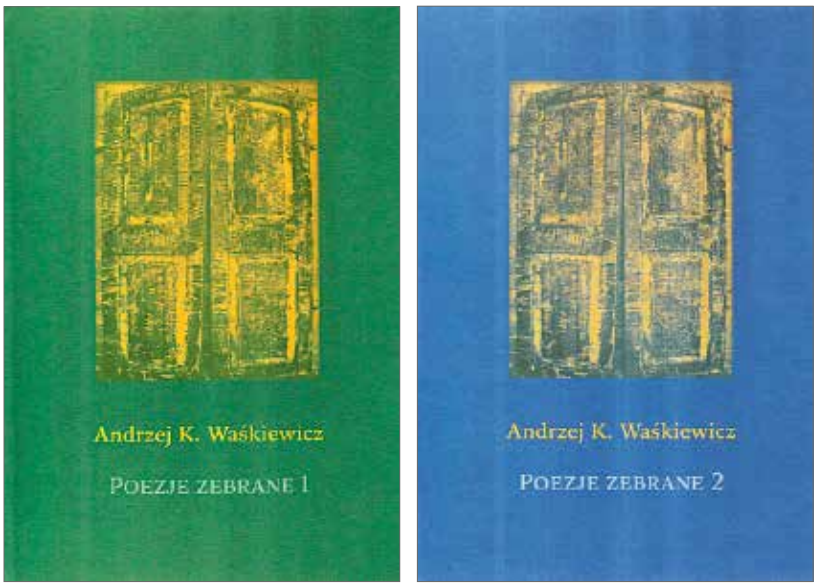

Andrzej K. Waśkiewicz, „Poezje zebrane", Marian Kisiel (red.), Gdańsk 2025, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, Fundacja Światło Literatury, część 1. – 280 s., część 2. – 280 s.

Dawid Kotlarek

Lata dziejów zapisane na papierze

Historia zielonogórskiej prasy zaczyna się 2 lipca 1825 roku, gdy drukarz August Krieg wypuścił pierwszy numer „Grünberger Wochenblatt". Periodyk, początkowo niewielki tygodnik, szybko zdobył sympatię mieszkańców miasta i okolic.

Już w pierwszych rocznikach pojawiały się opowieści podróżnicze, teksty etnologiczne, wiersze i zagadki, a obok nich wiadomości lokalne, ogłoszenia i ceny towarów. Mało kto wówczas przypuszczał, że w następnych dekadach to właśnie ta gazeta stanie się jednym z najbardziej wpływowych tytułów regionalnych.

W 1836 r. drukarnię po A. Kriegu przejął Martin Wilhelm Siebert, który poszerzył kolportaż gazety także o okoliczne miasta. Przełom nastąpił dwa lata później, gdy Wilhelm Levysohn rozpoczął pracę w wydawnictwie. W. Levysohn pochodził z Głogowa, studiował prawo na Uniwersytecie Berlińskim i uzyskał tytuł doktora. Jednak jako Żyd nie mógł podjąć kariery sędziowskiej czy adwokackiej. Wybrał więc drogę księgarza. Praktykował m.in. we Wrocławiu. W 1837 r. przybył do Zielonej Góry, gdzie założył pierwszą w mieście księgarnię. Wkrótce przejął również redakcję „GW", czyniąc z gazety nowoczesne, dynamiczne medium. Z czasem W. Levysohn przekształcił tygodnik w gazetę o wyraźnym profilu liberalno-demokratycznym. W latach 40. XIX wieku „GW" komentował europejską politykę, bronił wolności słowa, a nawet stawał w obronie Polaków, sądzonych w słynnym procesie berlińskim w 1847 r. Gazeta zdobyła wówczas opinię jednego z najbardziej lewicowych i liberalnych tytułów w Niemczech. W okresie Wiosny Ludów W. Levysohn jeszcze odważniej zabierał głos. Gdy wojsko otworzyło ogień do demonstrantów w Berlinie, opublikował wiersz „Do króla Prus", za który został skazany na rok więzienia za obrazę majestatu. Mimo to nie wycofał się z działalności publicznej. W 1848 r. jako reprezentant radykalnych liberałów zasiadł w parlamencie frankfurckim. Jego zaangażowanie polityczne, połączone z intensywną pracą wydawniczą, sprawiło, że w Zielonej Górze postrzegano go jako „nieprzejednanego demokratę".

W 1857 r. cała działalność wydawnicza i drukarska została przeniesiona do dawnego zajazdu Pod Trzema Wzgórzami przy dzisiejszym Placu Pocztowym. W drugiej połowie XIX w. „GW" osiągnął duży zasięg i w najlepszym okresie potrafił docierać do setek tysięcy czytelników jako dodatek do prasy ogólnoniemieckiej. Po śmierci W. Levysohna w 1871 r. firmę przejęli jego synowie.

W XX w. tygodnik wchodził w kolejne etapy rozwoju. Nowoczesna siedziba, zaprojektowana w 1930 r., miała stać się wizytówką miasta, a jednocześnie centrum dynamicznej prasy lokalnej. Jednak losy wydawnictwa radykalnie zmieniły się w czasach nazizmu. W połowie lat 30. XX w. drukarnia została przejęta przez władze hitlerowskie, a gazetę przekształcono w organ propagandowy NSDAP. Zniknął jej dawny pluralizm, a forma graficzna uległa upolitycznionej przebudowie. Na winiecie pojawiła się czcionka gotycka i symbol Rzeszy.

„GW" ukazywał się aż do 1944 r. Po zakończeniu działań wojennych budynki drukarni stały się miejscem funkcjonowania Państwowych Zakładów Graficznych. Stare czcionki pozostałe po Niemcach spolszczono poprzez usunięcie znaków umlaut i przystosowanie ich do polskiego alfabetu.

Przez ponad sto lat istnienia „GW" stał się nie tylko gazetą informacyjną, lecz także wyjątkowym lustrem życia codziennego Zielonej Góry i okolic. Na jego łamach obok wiadomości politycznych czy ogłoszeń mieszkańców pojawiały się setki drobnych informacji, które dziś pozwalają historykom odtworzyć wiele detali przedwojennego świata. To właśnie w krótkich notkach o targach, ślubach, pogrzebach, otwarciach sklepów czy zmianach w miejskiej infrastrukturze kryje się prawdziwa kronika dawnego Grünberga. Szczególną wartość mają dodatki tematyczne, które redakcja publikowała zwłaszcza w pierwszej połowie XX w. m.in. „Aus der Heimat", od 1930 r. wydawany pod tytułem „Welt und Heimat". Prezentowano tu bogatą historię miasta i regionu, opisywano dawne zwyczaje, lokalne legendy, sylwetki ciekawych postaci czy dzieje winnic. Dodatki stały się przestrzenią, w której pielęgnowano pamięć o przeszłości, od średniowiecznych początków Grünberga po rozwój kultury mieszczańskiej i rzemiosła. „GW" jest obecnie źródłem nieocenionej wiedzy o dawnym mieście, umożliwiając badaczom wgląd w rytm jego życia. To jeden z najcenniejszych dokumentów opisujących codzienność regionu na przestrzeni XIX i pierwszej połowy XX w.

Robert Rudiak

Dlaczego Michał Kaziów powinien mieć pomnik

Michał Kaziów urodził się 13 września 1925 roku w Koropcu koło Tarnopola. Jako dorosły ukończył szkołę średnią i studia polonistyczne na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, gdzie uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych. Po wojnie mieszkał z rodzicami w Bogaczowie koło Nowogrodu Bobrzańskiego, potem u Haliny Lubicz w Poznaniu, i od 1967 r. w Zielonej Górze do śmierci. Zmarł w 2001 r.

Michał Kaziów w młodym wieku, jako żołnierz, stracił obie ręce i wzrok w wyniku wybuchu miny w 1945 r., lecz mimo potwornego okaleczenia był w stanie dzięki ogromnej woli charakteru i pomocy oddanych mu bliskich osób, pokonać własne kalectwo, nauczyć się – jako pierwszy na świecie – czytać pismo brajlowskie ustami, jako pierwszy w Polsce niepełnosprawny z podwójnym kalectwem ukończyć normalną, powszechną szkołę średnią, a potem wyższą, obronić doktorat, napisać kilka książek beletrystycznych, ponad tysiąc artykułów prasowych, wydać dwie prace naukowe, stać się niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie sztuki radiowej, stworzyć – jako pierwszy w kraju, a być może i w Europie – definicję oryginalnego słuchowiska radiowego i uznać je za odrębny gatunek literacki.

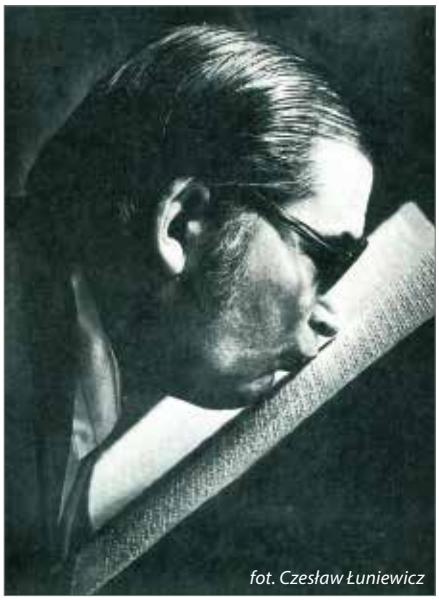
fot. Czesław Łuniewicz

Michał Kaziów (1925-2001)

Był też w kraju jedynym ekspertem i autorytetem sztuki radiowej, pierwszym w powojennej Polsce recenzentem słuchowisk radiowych, pierwszym Lubuszaninem zgłoszonym do literackiej Nagrody Nobla w 1993 r., pierwszym w kraju niepełnosprawnym nauczycielem i pierwszym niewidomym doktorem, o którym zrealizowano film dokumentalny „Doktorant" (reż. Edward Skórzewski), a wreszcie pierwszym niewidomym, którego prace magisterska i doktorska ukazały się drukiem we wrocławskim Ossolineum. Został w plebiscycie czytelników i radiosłuchaczy uznany na najwybitniejszą postać Ziemi Lubuskiej, a następnie w skali ogólnopolskiej najpopularniejszym Polakiem. Był Lubuszaninem 1967 Roku, Młodzieżowym Bohaterem „Polak 1968 Roku" i „Lubuszaninem XXX-lecia" w 1975 r. Napisał dziewięć książek, a jego autobiografia „Gdy moim oczom" wydana w 1986 r. biła rekordy czytelnicze. Za swoją twórczość został uhonorowany między innymi Lubuskim Wawrzynem Literackim w 1996 r.

Niewątpliwy ewenement osoby M. Kaziowa w skali światowej to mimo podwójnego inwalidztwa oryginalność jego postawy społecznej i humanistycznej, nadzwyczajność jego osobistych uzdolnień i ponadprzeciętność jego osiągnięć artystyczno-naukowych, które dla wielu osób w pełni zdrowych i sprawnych okazują się nieosiągalne. Precedens i wybitność jego osoby była szczególnie dostrzegana za życia artysty, kiedy był stawiany współczesnym za wzór bohaterstwa i niezłomności, zwycięstwa człowieka nad własnymi słabościami i przeciwnościami losu. Dlatego pamięć o M. Kaziowie, o jego nieprzeciętnej osobowości i genialnych zdolnościach winna przetrwać dłużej i być kuriozalnym świadectwem jego kreacji, doskonałym, jeśli nie rzec perfekcyjnym, przykładem Wielkości Człowieka dla przyszłych pokoleń.

Fenomen M. Kaziowa, polegający na uwydatnieniu się jego nowych możliwości i niebywałych zdolności, był możliwy wyłącznie dzięki jego ogromnej woli i nietypowej pracy nad sobą. Kaleka i geniusz – człowiek, który wypracował u siebie nadzwyczajną zdolność percepcji świata bez oczu i rąk, doskonały słuch, perfekcyjną pamięć i świetną orientację przestrzenną, niesamowitą zdolność czuciową w górnej wardze, pozwalającą mu czytać i uczyć się dotykiem, są dokonaniami nieprzeciętnymi, dokonaniami człowieka niezwyczajnego. A jego osiągnięcia naukowe i artystyczne sprawiły, że zdołał on zdobyć niebywale dużo, nieporównywalnie więcej niż niejeden zdrowy, pełnosprawny człowiek.

Niezwykłość M. Kaziowa, jego determinacja, upór, niezłomność, hart ducha, wola pokonania własnych słabości i przezwyciężenia kalectwa są dowodem ogromnej duchowej i moralnej siły tego człowieka. Powstały o nim dziesiątki artykułów prasowych, kilka reportaży telewizyjnych i radiowych, dwa filmy dokumentalne – wspomniany „Doktorant" i „Radość życia" w 2017 r., monografia „Fenomen Michała Kaziowa" w 2019 r. Pisarz ma rondo i tablicę pamiątkową na elewacji domu, w którym mieszkał w Zielonej Górze, jego imieniem nazwano też Studio w Radiu Zachód. Pośmiertnie uhonorowano go w 2018 r. tytułem Idol Stulecia przez Fundację Szansa dla Niewidomych.

Powstały w 2016 r. Społeczny Komitet Budowy Pomnika Michała Kaziowa złożył trzy lata później petycję w tej sprawie do władz miasta. Niestety, mimo iż zaraz upłynie 10 lat, Zielona Góra nie jest zainteresowana swoimi bohaterami. A przecież poza ławeczką Klema Felchnerowskiego żaden miejscowy artysta nie został uhonorowany. Pomnik M. Kaziowa byłby zatem pierwszym monumentem miejscowego naukowca i literata oraz osoby niepełnosprawnej, która swoją niezłomną postawą pokonała własne ograniczenia i przezwyciężyła bariery społecznej ekskluzji.

Izabela Korniluk

Przemiany i zjawiska zatrzymane przez Kamerę

Dorobek Lubuskiego Klubu Filmowego działającego w Zielonej Górze przez 30 lat pod skrzydłami Lubuskiego Towarzystwa Kultury jest nie do przecenienia. W kręgach zielonogórskich filmowców powstało wiele produkcji, które do dziś stanowią niebywale cenny materiał prezentujący dzieje powojennego województwa i Zielonej Góry.

W klubie powstało ponad 50 produkcji, a przy ówczesnych możliwościach realizatorskich i sprzętowych, w porównaniu do dzisiejszych, praca zielonogórskich filmowców wydaje się niezwykle żmudną, trudną i skomplikowaną. Nie dziwi więc fakt, że ta lokalna inicjatywa zdobyła rangę ogólnopolską i stała się własnością kultury polskiej, przynosząc owoce w postaci na przykład Lubuskiego Lata Filmowego. Filmy i dokumentacja zdjęciowa, jaką pozostawił po sobie klub, stanowią trwały ślad ich pracy w LTK.

Początki Amatorskiego Klubu Filmowego „Kamera" i jego współpracy z LTK sięgają 1957 roku, kiedy to grupa entuzjastów i pasjonatów filmu oraz studenci szkół filmowych pojawili się na ulicach Zielonej Góry. Do tej liczby zaliczyć należy: Janusza Łomskiego – studenta łódzkiej szkoły filmowej, zdolnego i błyskotliwego operatora, wizjonera i twórcę większości zielonogórskich obrazów filmowych, Floriana Mocaka – operatora, mechanika, elektryka, pracownika w kinie Włókniarz, Tamarę Janowską – kierowniczkę kina Włókniarz, uzdolnioną aktorkę, opokę klubu, muzę i inspiratorkę męskiego grona Kamery, Stefana Komara – który w LKF pełnił funkcję kierownika produkcji, a także Longina Litwinowicza, Tadeusza Marcinkowskiego, Waldemara Zubrzyckiego i Tadeusza Cegielskiego. Młodzi pasjonaci X Muzy postanowili utworzyć Amatorski Klub Filmowy „Kamera", który był miejscem realizacji ich pasji i pomysłów.

Praca i zaangażowanie młodych filmowców szybko zwróciła uwagę władz LTK, które wspierało merytorycznie i finansowo środowiska twórców wnoszących powiew świeżości i nowości w działaniach kulturalnych w Zielonej Górze. Filmowanie i produkcja obrazów dźwiękowych wymagało sprzętu i pieniędzy, dlatego postanowiono wesprzeć zielonogórskich filmowców. Pierwsze krótkometrażówki amatorskiej grupy powstały z własnych dobrowolnych składek, następne współfinansowanie były już przez LTK. Pierwszą produkcją powstałą przy wsparciu towarzystwa był „Epizod z jednego miasta", który prezentował najładniejsze zakątki Zielonej Góry.

Szybko zauważano pozytywną stronę tworzenia filmów prezentujących piękno i podkreślających polskość Ziemi Lubuskiej. Obrazy te kupowane były przez telewizję i wyświetlane przed seansami filmowymi w kinach. Filmy stanowiły także materiał szkoleniowy i pokazowy dla różnych działań LTK oraz powiązanych z nim organizacji. Klub współpracował z wieloma instytucjami, które umożliwiały obróbkę obrazów produkowanych przez zielonogórskich filmowców, a członkowie LKF wykorzystywali swoją wiedzę i doświadczenie oraz nierzadko znajomości, by kupować potrzebny sprzęt.

LTK dbało również o odpowiednią reklamę i eksploatację filmów swojej sekcji. Chętnie użyczało filmy Centrali Wynajmu Filmu, która wyświetlała je w sieci kin na terenie województwa zielonogórskiego. Emitowano je również w telewizji warszawskiej i poznańskiej oraz sprzedawano Centrali Filmów Oświatowych „Filmos".

Członkowie Lubuskiego Klubu Filmowego przy pracy nad nowym filmem *fot. Archiwum*

Zadaniem członków Kamery było dokumentowanie i filmowanie regionu, produkcja filmów prezentujących zakątki i miejsca, ale także i problemy, z jakimi zmagała się wówczas Ziemia Lubuska. Na taśmach utrwalano najważniejsze przemiany i zjawiska zachodzące w województwie zielonogórskim. Prowadzono poprzez produkcję filmowe dokumentację życia kulturalnego Ziemi

Filmy realizowane w Lubuskim Klubie Filmowym

W 1957 r. powstał „I znów minął rok…", będący przeglądem wydarzeń z województwa zielonogórskiego w 1956 r. Zaraz po nim filmowcy zrealizowali „Epizod z jednego miasta", czyli opowieść o problemach społeczno-obyczajowych. Tradycji polskości na Ziemi Lubuskiej i jej piastowskich zabytkach na podstawie reportaży Tadeusza Kajana dotyczył film „Była i jest nasza". W 1958 r. powstał „Pijany reportaż" z obchodów Winobrania w Zielonej Górze w 1958 r. Oto inne ciekawsze obrazy: „Uwaga, uwaga, alarm!" (popularyzujący higienę osobistą i kulturę sanitarną), „Operacja B" (o działalności Milicji Obywatelskiej na Ziemi Lubuskiej), „Lumel" (o pracy Lubuskich Zakładów Aparatów Elektrycznych „Lumel" w Zielonej Górze), „Łagowski nokturn" (o pięknie łagowskiego krajobrazu), „Mięsopusty w Podmoklach" (o staropolskim zwyczaju ludowym obchodzonym na zakończenie karnawału w Podmoklach koło Babimostu). Ostatnią pracą LKF był film ze spotkania muzyków ludowych w Nądni koło Zbąszynia zrealizowany w 1985 r. „Spadł z pieca gołąbek". Rozgłos uzyskał „Wierna ziemia", film ukazujący walkę ludności autochtonicznej na Ziemi Lubuskiej o zachowanie polskości, na podstawie książki Wiesława Sautera „Z walk o polskość Babimojszczyzny". Ukazało się kilka wydań „Lubuskiej kroniki filmowej" i „Lubuskiego przeglądu filmowego".

Lubuskiej. Bardzo popularna była wówczas w kraju Polska Kronika Filmowa, wyświetlana w kinach w całej Polsce. Zielonogórscy filmowcy postanowili nagrywać własne Lubuskie Kroniki Filmowe, które zawierały przeglądy wydarzeń mających miejsce na Ziemi Lubuskiej.

Prace klubu, w szczególności zdjęcia i ilustracje wykorzystywano i umieszczano w wydawnictwach towarzystwa, w poszczególnych pozycjach książkowych, czasopismach i kwartalnikach. Ze zdjęć J. Łomskiego korzystały także inne sekcje LTK, które chciały mieć w zbiorach dokumentację fotograficzną swojej działalności, między innymi Ośrodek Badawczo-Naukowy, Sekcja Plastyki Amatorskiej, Sekcja Wydawnicza. Poza tym filmowcy zajmowali się nie tylko produkcją kronik, filmów i audycji telewizyjnych, ale także pracami wykonywanymi na zamówienia zakładów pracy, organizacji i instytucji działających wówczas w Zielonej Górze i regionie. Dzięki temu do dziś przetrwały cenne kilometry taśm filmowych obrazujące dzieje, rozwój i zmieniające się oblicze Zielonej Góry i województwa. Bez pracy filmowców wiedza o przeszłości regionu była by o wiele uboższa.

Beata Grelewicz

Pierwszy film o Grünbergu

2 stycznia 1925 roku o godzinie 20.00 sala Kammerlichtspiele (obecnie kino Nysa przy Alei Niepodległości) wypełniła się po brzegi. Mieszkańcy Grünbergu tłumnie przybyli na premierę pierwszego filmu o swoim mieście „Grünberg in Schlesien, Obst-und Rebenstadt des Ostens", czyli w polskim tłumaczeniu „Zielona Góra na Śląsku, miasto owoców i winorośli na Wschodzie".

Film został nakręcony jesienią 1924 r. na zamówienie rady miejskiej przez berlińską spółkę akcyjną Industriefilm. Złożony był z dwóch części: „Ein Gang durch die Stadt", czyli „Spacer po mieście", i „Grünberg und der Wein", czyli „Zielona Góra i wino", a jego celem była promocja miasta, jego walorów turystycznych i możliwości gospodarczych.

Film był niemy, jednak jego projekcję uświetnił specjalnie przygotowany na tę okazję program artystyczny. Spotkanie otworzyła muzyka instrumentalna i męski chór pod dyrekcją Armina Haaga wykonujący utwór „Ewig liebe Heimat". W imieniu magistratu przemówienie wygłosił radca do spraw budownictwa dr Mählmann, który przybliżył zebranym cel powstania filmu, podkreślając, iż jest to doskonały sposób na pokazanie całemu światu dobrych cech miasta i osiągnięć jego przemysłu. Wyraził także swoje ubolewanie z faktu, iż w filmie nie zaprezentował się przemysł metalurgiczny, mając zapewne na myśli brak w nim jakiejkolwiek wzmianki o firmie Beuchelt u. Co. Grünberg in Schlesien Brückenbau–Stahlbau–Waggonbau–Tiefbau (w Zielonej Górze produkującej jako Zastal). Przemówienie zakończyło się błogosławieństwem dla miasta. W przerwie pomiędzy pierwszą a drugą częścią filmu członkowie kwartetu zaśpiewali jeszcze piosenkę „Hier bei diesen Weingeländen", autorstwa Ludwika Fischera.

O filmie rozpisywała się gazeta „Grünberger Wochenblatt", zarówno reklamując jego projekcję, jak i zamieszczając w numerze z 3 stycznia relację z premiery.

Informację o powstaniu filmu zamieszczono także w Sprawozdaniu miasta Grünberg za okres od 1 kwietnia 1923 do 31 marca 1926, w którym napisano: „Należy zauważyć, że w 1925 r., idąc za przykładem różnych innych miast, Grünberg wyprodukował film o mieście, w którym pokazano najważniejsze jego cechy, w szczególności wybijające się gałęzie przemysłu, piękno krajobrazu oraz historyczne lub w inny sposób cenne budynki. Nie ulegało wątpliwości, że miasto Grünberg ze swoim przemysłem sukienniczym i winiarskim, parkami i innymi osobliwościami będzie odpowiednim tematem do filmu. Film został nakręcony i wyprodukowany przez spółkę Industriefilm w Berlinie. Składa się z dwóch części. Pierwsza część zapoznaje widza z naszym miastem, pokazuje przede wszystkim główne gałęzie przemysłu, przemysł sukienniczy i uprawę winorośli, druga część szczegółowo omawia przemysł winiarski i napojów w Grünbergu.

Film o mieście Grünberg, który ma na celu dostarczenie informacji o rozwoju miasta, a w szczególności jego

przemysłu, powinien być również doskonałym sposobem na pokazanie całemu światu mocnych stron miasta i produktów jego przemysłu. Rada miejska podjęła się zadania zorganizowania odpowiedniej dystrybucji filmu. W tym celu od czasu do czasu bezpłatnie pokazywała go w innych miastach, a także udostępniała go władzom do wyświetlania. Na podstawie dotychczasowych wyników można stwierdzić, że film został ogólnie dobrze przyjęty".

Z powodu braku źródeł trudno odtworzyć późniejsze dzieje filmu. Po II wojnie światowej znalazł się on w posiadaniu Lubuskiego Klubu Filmowego, prowadzonego przez Janusza Łomskiego. Zapewne film trafił w jego ręce w częściach, ponieważ J. Łomski posklejał go według swojego zamysłu, tworząc kalejdoskop pojedynczych obrazów, nie połączonych ze sobą ciągiem przyczynowo-skutkowym.

W takiej postaci trafił on razem z innymi materiałami LKF do zasobu Archiwum Państwowego w Zielonej Górze. Okoliczności ich przekazania opowiedział mi dr hab. Zbigniew Bujkiewicz, długoletni pracownik zielonogórskiego archiwum.

25 marca 1988 r. LKF musiał ostatecznie opuścić swoją siedzibę, mieszczącą się w baraku przy ulicy Wyspiańskiego. Tego dnia ktoś z klubu, prawdopodobnie sam J. Łomski, zadzwonił do archiwum, urzędującego wówczas w pałacu w Starym Kisielinie z informacją, że są do przejęcia filmy LKF, a jeśli archiwum nie będzie nimi zainteresowane, to trafią one na śmietnik. Telefon odebrała Wanda Darasz, która przekazała tę wiadomość Mieczysławowi Szylce, ówczesnemu kierownikowi oddziału III. Zaraz też M. Szylko, Z. Bujkiewicz i Tadeusz Dzwonkowski pojechali na Wyspiańskiego, gdzie zastali J. Łomskiego sprzątającego swoje biuro. Po chwili zastanowienia pracownicy archiwum zadecydowali, iż wezmą całą spuściznę LKF, zarówno kopie ekranowe filmów, jak i pozostałe materiały robocze, powstałe podczas ich produkcji. J. Łomski, niejako w prezencie, podarował jeszcze archiwum puszkę z niemieckim filmem o Zielonej Górze. Z. Bujkiewicz wspomina, że „wyglądało na to, że początkowo nie chciał się z tym filmem rozstawać, ale ostatecznie uznał, że trafi on w dobre ręce". W ten oto sposób materiały LKF, wraz z niemieckim filmem, ocalały w Archiwum Państwowym w Zielonej Górze i są przechowywane w zespole pod nazwą Lubuski Klub Filmowy przy Lubuskim Towarzystwie Kultury w Zielonej Górze (nr 89/599).

W 2006 r., z inicjatywy Tomasza Czyżniewskiego, filmy z tego zespołu zostały przegrane na VCD przez Agencję Telewizyjną Carbo-Media. Płytę można było kupić z weekendowym wydaniem „Gazety Lubuskiej". W 2021 r. archiwum zleciło profesjonalną digitalizację filmu Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi. Nadal miał on jednak układ nadany mu przez J. Łomskiego.

Kiedy z 2025 r. niemieckim filmem zainteresował się zatrudniony w archiwum dr Paweł Kalisz, odnalazł on w zasobach Bundesarchiv jego scenariusz, na podstawie którego poukładał poszczególne sceny na nowo, nadając im logiczny układ. Zmianę tę widać szczególnie w części dotyczącej przemysłu. Ponieważ film był niemy, dr Kalisz dokonał jego udźwiękowienia i przetłumaczył na język polski niemieckie napisy.

Do naszych czasów zachowała się prawie w komplecie pierwsza część filmu i zaledwie fragmencik drugiej. Niestety ani Archiwum Państwowe w Zielonej Górze, ani Bundesarchiv nie posiada drugiej części filmu poświęconej zielonogórskiemu winiarstwu. W zasobach Bundesarchiv znajduje się jedynie jej scenariusz.

Kadr z filmu nakręconego w 1924 r. przedstawiający ówczesny Postplatz, czyli obecny Plac Pocztowy

Beata Rusińska

Czerwona szkoła była pierwsza

16 sierpnia 1945 roku rozpoczęła funkcjonowanie Powszechna Szkoła Podstawowa nr 1 przy pl. Słowiańskim 15. Działalność edukacyjną pierwszej polskiej szkoły w Zielonej Górze kontynuuje Szkoła Podstawowa nr 1 im. Henryka Sienkiewicza przy ul. Stefana Kardynała Wyszyńskiego 17, reaktywowana w 1973 r.

Początki życia edukacyjnego po II wojnie światowej to olbrzymi wysiłek organizacyjny, administracyjny i opiekuńczy miasta. Wojna zdemontowała przecież system edukacji, budynki szkolne wraz z wyposażeniem zostały zniszczone, brakowało polskich pomocy dydaktycznych, a kadra nauczycielska była zdziesiątkowana. Mimo to już 16 lipca 1945 roku zorganizowano w Zielonej Górze inspektorat szkolny, a miesiąc później uruchomiono pierwszą szkołę.

16 sierpnia 1945 r. otwarta została Powszechna Szkoła Podstawowa nr 1 przy Placu Słowiańskim 12, w budynku dawnej niemieckiej szkoły podstawowej. Sama historia tego budynku sięga 1883 r., kiedy przekazano miastu czerwoną szkołę z piętnastoma izbami ogrzewanymi piecami kaflowymi. Od 1926 r. placówkę ze względu na przyjęte zasady wychowawcze szwajcarskiego pedagoga nazywano Pestalozzischule i do 1933 r. korzystały z niej jedynie dzieci wyznania ewangelickiego. W marcu 1945 r. przemianowano nazwy niemieckie na polskie i wówczas to szkoła rozpoczęła swą działalność przy pl. Słowiańskim.

Od samego początku historię Powszechnej Szkoły Podstawowej nr 1 zapisywał w kronice kierownik placówki Brunon Anders. W pierwszym zdaniu kroniki: „Dnia 16 sierpnia 1945 r. napełnił się gmach szkolny przy Placu Słowiańskim nr 15 gwarem dzieci polskich przybyłych z różnych stron" kryje się duża trudność, z jaką borykała się szkoła. Stan ewidencji ludności napływającej z różnych obszarów zmieniał się bowiem dosłownie z dnia na dzień. Jak podaje „Kronika szkolna" pierwszy powojenny rok szkolny rozpoczynało 364 uczniów, a po miesiącu było ich już 490. Klasy były przeludnione, mogły liczyć nawet po 50 osób. Najwięcej dzieci, bo 37 proc., wywodziło się z Wielkopolski, 31proc przybyło z centralnej Polski, a 30 proc. z Kresów Wschodnich. Oprócz stale zmieniającego się stanu ewidencyjnego uczniów, dużym problemem okazał się także ich poziom wiedzy. „Gazeta Zielonogórska" w 1955 r. pisała: „Niektóre dzieci mają po 10 a nawet 12 lat, a nie były jeszcze w ogóle w szkole. Niektóre zaczęły naukę w Związku Radzieckim, a jeszcze inne umieją czytać tylko po niemiecku albo rumuńsku". Mówiły więc różnymi językami, dialektami, zmagały się z traumami wojennymi, biedą i głodem. Dysproporcje w wykształceniu dzieci powodowały z kolei konieczność łączenia uczniów o podobnym poziomie edukacyjnym tak, że w jednej klasie uczyły się ośmiolatki z dwunastolatkami. Umożliwiało to niwelowanie różnic w wykształceniu, a także sprzyjało zaliczeniu w ciągu jednego roku kilku klas.

Innym ważnym problemem przy lawinowo rosnącej liczbie uczniów w PSP nr 1 stawały się tzw. ciągi szkolne. Były to specjalne oddziały dla uczniów bliskich pełnoletniości, którzy nie mieli okazji wcześniej uczęszczać do szkoły. Stworzono więc możliwość przyspieszonej edukacji, ograniczonej do najpotrzebniejszych umiejętności, aby jak najszybciej umożliwić przyuczanie do zawodu. W takich oto warunkach pracę swą jako misję traktowali pierwsi nauczyciele: Leokadia Włodarczak, Maria Kupryjanowicz, Zofia Strojczyńska, Albin Capi, Ludwik Maćków, Stefan Konarski, Władysław Kałuża, Marian Sosiewicz, Józef Pienias, Olga Ostafińska oraz kierownik szkoły nr 1 B. Anders. Jak wspominał po latach jego syn, prof. Wiesław Anders, podczas odsłaniania przy SP nr 1 tablicy pamiątkowej poświęconej ojcu: „Tata, gdy wychodził do pracy, mówił: Idę na służbę. Swój zawód traktował bowiem jako posłannictwo".

Z czasem trudności się zmniejszały, a wiązało się to z uruchomieniem kolejnych placówek w Zielonej Górze. Warto dodać, że wszelkie niedobory materialne często uzupełniane były własnym sumptem nauczycieli i rodziców. W ten sposób dbano o najpilniejsze potrzeby uczniów związane z dożywianiem, wyposażeniem sal lekcyjnych i zaopatrywaniem w pomoce dydaktyczne. Wszystkim bowiem przyświecał jeden cel: jak najszybciej przywrócić normalne życie szkolne w Zielonej Górze. Tym bardziej wzruszający pozostaje historyczny wpis do „Kroniki szkolnej": „Nad Odrą, co swą falą pieści brzeg prastarej Polskiej Ziemi Lubuskiej, zatknęliśmy sztandar Orła Białego. Szkoła Polska winna zatem stać wiernie na straży, gdzie słupy graniczne zostały wbite krwią żołnierza polskiego, mocą tężyzny Ducha Narodowego i Jego wolą, by ziemie te utrzymać na wieki przy Macierzy".

W 1967 roku szkoła nr 1 w Zielonej Górze została zlikwidowana. Potem w budynku przy pl. Słowiańskim 12 mieścił się między innymi dom studencki Tekturowiec. Obecnie gmach zajmują wydziały zielonogórskiego Sądu Rejonowego. *fot. Daniel Jung*

Alicja Błażyńska

Ul. Adama Mickiewicza 11

Zaczynało się od XIX-wiecznego handlu kolonialnego, potem była kwiaciarnia i PRL-owski bar mleczny. Jednak to rok 1970 i egzotyczna nazwa wybrana w konkursie na zawsze zmieniły oblicze kamienicy u zbiegu ulic Mickiewicza i Żeromskiego.

Niewiele zostało barów, kawiarenek, sklepików i warsztatów, w których wciąż można odnaleźć klimat przeszłości, dawne zapachy i smaki, oryginalne siedziska czy wystrój bliski naszym wspomnieniom. Jednym z takich miejsc w Zielonej Górze jest Bar Kawowy „Niger", od lat funkcjonujący na rogu ulic Mickiewicza i Żeromskiego. Mimo upływu czasu aranżacja lokalu niemal się nie zmieniła, niewiele też odbiega od tej pierwszej oferta menu. To właśnie tutaj kawa smakuje jak dawniej, lody powstają z naturalnych produktów, a desery i torty kuszą nawet tych, którzy są na diecie.

Cofnijmy się do końca XIX w. Kamienica przy Niederdorfstrasse – przyszła siedziba Nigru – należała do przedsiębiorcy Wilhelma Graua, który po drugiej stronie ulicy, pod numerem 18, prowadził okazały dom towarowy. W interesującym nas budynku mieścił się wówczas sklep kolonialny. Po II wojnie światowej działała tu kwiaciarnia prowadzona przez Julię i Władysława Żurawskich, sprzedających oprócz roślin także owoce. Niestety w latach 50. zostali oni pozbawieni lokalu i zmuszeni do wyprowadzki.

Kolejnym gospodarzem obiektu było Społem, które w latach 60. uruchomiło tu bar mleczny. Królowały w nim proste, sycące dania – naleśniki, zupy i kanapki. Jak wspominają starsi mieszkańcy, można było zjeść dużo i tanio.

Dekadę później zapadła decyzja o utworzeniu w tym miejscu bistra kawowego. Projekt wnętrza powierzono pochodzącemu z Krakowa architektowi Krzysztofowi Serafinowi. Zainspirowany niedawną podróżą do Afryki, sięgnął on po motywy sztuki afrykańskiej. Na ścianach pojawiły się egzotyczne maski oraz freski z tańczącymi postaciami. Nazwa baru – Niger – wybrana w konkursie czytelniczym, idealnie dopełniła całości. Pierwsi goście pojawili się w maju 1970 r.

W menu znalazła się kawa z ekspresu, lody wyrabiane na miejscu, smaczne desery kuszące z przeszklonej witryny oraz alkohole z wyższej półki. Dogodna lokalizacja, oryginalny wystrój i charakterystyczne stołki ustawione wzdłuż baru oraz lady przy oknach sprawiły, że Zielonogórzanie zakochali się w nowej kawiarni od pierwszego wejrzenia.

Niger w latach 70. ubiegłego wieku *fot. Czesław Łuniewicz*

Zaglądano tu idąc do pracy, szkoły, na uczelnię i w drodze powrotnej. Było to miejsce pierwszych randek, spotkań młodszych i starszych pokoleń. W dobrym tonie było umawiać się właśnie tutaj, przyprowadzać gości i polecać lokal turystom. Świadectwem tych emocji są dwie księgi pamiątkowe: pierwsza założona w latach 90. oraz druga, prowadzona od początku nowego tysiąclecia. Obie pokazują, jak bardzo Niger wrósł w tkankę miasta.

Niektórzy bywalcy wręcz tu rezydowali – mieli swoje ulubione miejsca i stałe zamówienia. Wiernym gościem kawiarni był między innymi Henryk Ankiewicz, autor „Listów z Palmiarni" w „Gazecie Lubuskiej" i wielu książek, wśród nich „Przechadzek zielonogórskich", która dziś powinna znaleźć się w kanonie regionalnych lektur. Pod datą 4 lutego 2003 roku zapisał w kronice: „Zawsze leżał mi duch tego miejsca. Tu wymyślałem powłokę nowych felietonów i układałem w głowie kilka moich książek. (…) Będę tu wracał aż do końca świata".

W kronikach pojawiają się także wpisy osób powszechnie znanych: Anny Seniuk, Tomasza Lisa, Konstantego Andrzeja Kulki czy Stanisława Tyma oraz mieszkańców, odwiedzających ukochaną kawiarnię nieraz po wielu dekadach.

O dobrą atmosferę i jakość menu dbali zarówno zarządzający lokalem, jak i jego pracownicy. Od początku całością kierowała Urszula Denke, która w czasie przemian ustrojowych wykupiła bar na własność. Przez lata prowadziła go wspólnie z zięciem, pełniącym funkcję szefa do dziś. Niger mógł pochwalić się znakomitymi cukiernikami i świetnymi barmankami, potrafiącymi budować trwałe relacje z klientami. To wszystko składało się na niepowtarzalny koloryt miejsca, który trwa do dziś.

Gdy na początku roku odwiedziłam to miejsce, na ścianach dostrzegłam nowe maski, jak się okazało, przywiezione niedawno zza granicy przez stałych bywalców. Usiadłam przy wysokim stole za barem, w lustrach obserwowałam spieszących Zielonogórzan. Przeglądając kroniki i czytając wpisy, nie mogłam uwolnić się od własnych wspomnień związanych z tym miejscem.

Na szczęście Bar Kawowy „Niger" trwa. I oby nic się w nim nie zmieniało.

Ryszard Zaradny

Prezydent od budowy infrastruktury komunalnej

Będący na fali popularności Komitet Obywatelski „Solidarność" w wyborach 1990 roku wprowadził do 45-osobowej Rady Miasta 33 radnych. Funkcje prezydenta powierzono Romanowi Doganowskiemu, wiceprezydentami zostali Henryk Masternak i Edward Mincer.

Wybory samorządowe w 1994 r. zmieniły krajobraz polityczny w Radzie Miasta. Bardzo zróżnicowana Solidarność zreorganizowała się politycznie w wiele podmiotów, tworząc odrębne komitety wyborcze, przeważnie o charakterze prawicowym. W efekcie w wyborach 19 czerwca 1994 r. najwięcej, bo 19 mandatów uzyskała lewica. Utworzyła koalicję z radnymi Unia dla Zielonej Góry, z listy której startował Henryk Masternak, będącymi w bliskiej konstelacji z Unią Wolności.

W takim układzie lewica zgodziła się na wysunięcie kandydatury dotychczasowego wiceprezydenta H. Masternaka na stanowisko szefa zarządu miasta. Formalnie był bezpartyjnym przez cały okres działalności politycznej. Posiadał wykształcenie ścisłe, co ułatwiało mu bycie pragmatykiem i realistą (absolwent geologii na UAM w Poznaniu, z zawodu rzeczoznawca majątkowy). W swojej działalności publicznej kładł duży nacisk na fachowość i apolityczny charakter zarządzania miastem, określano jego poglądy jako centrolewicowe, a zaplecze polityczne było związane z lewicą. Niewątpliwie atutem H. Masternaka było doświadczenie uzyskane w funkcjonowaniu struktur miejskich w poprzedniej kadencji. Mógł przede wszystkim kontynuować budowę infrastruktury komunalnej, w tym oczyszczalni ścieków, bowiem dotychczasowa przy ul. Foluszowej była jeszcze dziełem niemieckich poprzedników.

fot. Archiwum prywatne

Henryk Masternak – (1948 -2025)

Bardzo ważnym problemem dla Zielonogórzan była jakość wody dostarczanej z Obrzycy, którą trzeba było przed spożyciem mocno chlorować. Problem rozwiązano poprzez unowocześnienie stacji uzdatniania wody w Zawadzie, wprowadzając filtry dolomitowe i mikrosita. Poprawiło to jakość wody tak, że zbędne było już jej chlorowanie.

Kosztowną centralną oczyszczalnię ścieków w Łężycy ukończono dopiero po 10 latach w 1999 r. Na pierwszych etapach budowę finansowała spółka Łącza ze składek członków (dużych zakładów pracy) i budżetu miasta. Prace przyśpieszyły, gdy pojawiły się możliwości korzystania z europejskich funduszy przedakcesyjnych PHARE i korzystnych kredytów przeznaczonych na ochronę środowiska. W swojej polityce H. Masternak skupiał się na modernizacji infrastruktury i tworzeniu długofalowych strategii rozwoju miasta. Temu służyła budowa Trasy Północnej, współfinansowana przez Bank Światowy czy remonty wiaduktu.

H. Masternak był radnym także w następnej kadencji 1998-2002, uzyskując mandat z listy Unii Wolności. Wybory wygrał Sojusz Lewicy Demokratycznej, uzyskując 25 mandatów, mógł więc samodzielnie sprawować władzę w mieście. Na prezydenta Rada Miasta desygnowała Zygmunta Listowskiego. H. Masternak aktywnie wypełniał mandat radnego, prowadząc jednocześnie biuro konsultingowo-projektowe. W 2002 r. bezskutecznie ubiegał się o funkcję wójta gminy wiejskiej Zielona Góra z ramienia Komitetu Wyborczego Wyborców Bezpartyjnych „Eurogmina".

H. Masternak aktywność przejawiał również w innych obszarach. Zgodnie z profesją był aktywnym członkiem Stowarzyszenia Ekspertów Wyceny Nieruchomości w Zielonej Górze, którego członkami były osoby zamieszkujące nie tylko województwo zielonogórskie i gorzowskie, ale także legnickie, wrocławskie, jeleniogórskie, wałbrzyskie, leszczyńskie i poznańskie. Od 2011 r. sprawował funkcję przewodniczącego stowarzyszenia, a od 2015 r. wiceprezydenta Polskiej Federacji Stowarzyszeń Rzeczoznawców Majątkowych. Niemal od początku powstania w Zielonej Górze Rotary Club był aktywnym członkiem, a od 1 lipca 2004 do 30 czerwca 2005 r. jego prezydentem.

Szczególną estymą darzył Aeroklub Ziemi Lubuskiej, którego od 2001 r. był prezesem. W aeroklubie uważano, iż „był nie tylko prezesem, ale przede wszystkim przyjacielem lotnictwa, mentorem dla młodych pilotów i duszą naszej społeczności, a dzięki jego zaangażowaniu aeroklub nieustannie się rozwijał, stając się miejscem spotkań ludzi zarażonych miłością do latania".

H. Masternak prezentował też niekonwencjonalne postawy, zadbał bowiem o nawiązanie w 1998 r. kontaktów z byłym prezydentem RP na uchodźctwie Ryszardem Kaczorowskim i nadanie mu tytułu Honorowego Obywatela Miasta Zielona Góra, który ten przyjął osobiście jako wyraz uznania dla całej emigracji niepodległościowej.

Ps.

W ostatnim okresie pożegnaliśmy czterech byłych prezydentów Zielonej Góry. Najpierw 30 stycznia 2024 r. zmarła Antonina Grzegorzewska pełniąca urząd w latach 1983-1988, 28 września 2024 r. zmarł jej następca Edmund Błachowiak (prezydent w latach 1989-1990). W następnym roku zmarło dwóch kolejnych: 13 czerwca H. Masternak (prezydent w latach 1994-1998) i 27 sierpnia Z. Listowski (prezydent w latach 1998-2002).

Iwona Peryt-Gierasimczuk

To sztuka zgnębić siebie i nie iść na dno

Hilary Gwizdała pochodził z rodziny muzycznej. Studiował w Instytucie Sztuk Plastycznych w Poznaniu, poznańskiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych i warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Był uczniem Jana Cybisa, Hanny Rudzkiej-Cybisowej i Wacława Taranczewskiego.

W 1955 roku ukończył studium pedagogiczne. Zamieszkał w Pruszkowie, gdzie przez wiele lat pracował w tamtejszych szkołach i domu kultury jako nauczyciel plastyki i muzyki. Był wówczas żonaty, miał dwóch synów. Związek rozpadł się po dziesięciu latach. W 1966 r., za namową Witolda Nowickiego, przyjaciela ze studiów w ASP, zamieszkał w Zielonej Górze. Zabrał ze sobą zdjęcie dzieci i myśl, która przyświecała mu do końca: „Mój rozwód był potrzebny do malarstwa. Kobiety, miłość są potrzebne do sztuki".

Zamieszkał na poddaszu domu przy ul. Gen. Sowińskiego 2/6. Niewielki pokój o ascetycznych warunkach był dla niego jednocześnie garsonierą i atelier. Dla późniejszych, stałych bywalców „metą" z pełnym dostępem do trunków i gdy taka była potrzeba, salonem artystycznym, miejscem spotkań zielonogórskiej bohemy. Wszystko za sprawą magicznej atmosfery locum i barwnej osobowości gospodarza. Ten często zmęczony liczbą gości, jednak nie umiał bez nich egzystować i tworzyć. Wszystko o nim kryło się w sentencji, którą nadzwyczaj starannie, wielkimi kolorowymi literami wymalował na ścianie: „To sztuka zgnębić siebie i nie iść na dno".

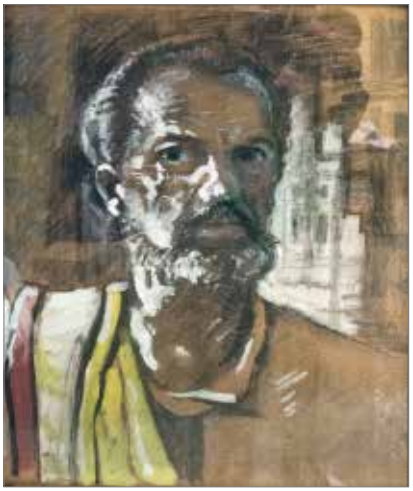

Hilary Gwizdała (1916-1991) – Autoportret

Podczas gdy środowisko plastyków, a właściwie całe miasto żyło w tym czasie kolejną edycją Złotego Grona, imprezy spektakularnej i nowatorskiej, zdominowanej hasłem „Przestrzeń i wyraz", Gwizdała zachowywał swoją odrębność. Fakt, że była to prezentacja integracji sztuk wizualnych, ważna w skali kraju jako próba przekroczenia tradycyjnych barier istniejących między poszczególnymi dyscyplinami sztuki, na Gwizdale te manewry nie zrobiły wrażenia. Awangarda go zupełnie nie interesowała. Nie eksperymentował, nie uprawiał modnych kierunków.

Był postacią legendarną. Jego wygląd i styl życia pasowały do wizerunku artysty cygana.

Malowanie było jego największą potrzebą i radością. Jak twierdził – wręcz fizjologiczną koniecznością i rodzajem terapii na doświadczenia życia. Mimo że spontanicznie w swojej twórczości poruszał się znanymi od wieków ścieżkami. Z entuzjazmem i zachwytem neofity nawiązywał do polskiego koloryzmu. Za wartość nadrzędną w obrazie uważał barwę i światło. Szukał ich w codzienności miasta i okolicy, przeważnie szarej i smutnej. Zachwycił się urodą miejsca, w którym przyszło mu mieszkać. Urzekła go zieleń parków, ogrodów i podmiejskich terenów leśnych. Jego wyobraźnię zdominowały zabytkowe kamieniczki, ratusz, kościoły, urokliwa geometria dachów, widoczne z okien jego atelier, bez potrzeby wychodzenia. To były główne motywy jego tętniących barwą i światłem obrazów. Jak pisano – miasto w twórczości malarza jest jego własną, oryginalną wizją. Po części jest Zieloną Górą, po części miastem z kolorowego snu.

Stałym bywalcem atelier H. Gwizdały był Klemens Felchnerowski. Artysta wszechstronny, dominujący w im współczesnym Panteonie. Dziwne, że pomimo odmiennej świadomości i zdecydowanych różnicach w rozumieniu malarstwa i postrzeganiu jego roli w życiu społecznym, bardzo się przyjaźnili i byli niemal nierozłączni. W 1979 r. H. Gwizdała namalował portret przyjaciela w bordowym golfie. Na wieść o śmierci Klema w styczniu 1980 r., na obrazie umieścił czarną, żałobną linię.

Częstym bywalcem pracowni był Jan Muszyński, dyrektor Muzeum Ziemi Lubuskiej, historyk sztuki. Pisał o nim w swoim „szarym katalogu": „Hilary Gwizdała to gospodarz bez stodoły, to szlachcic bez karabeli, to ziemianin bez obywatelstwa. A więc kto? Hilary Gwizdała to sposób na życie. To artysta całego kraju, województwa, miasta i swojej ulicy".

Nie zabrakło w tym gronie dziennikarzy: Andabaty, autora „Listów z Palmiarni" i Ryszarda Rowińskiego, reportażysty związanego lokalną prasą. Chyba codziennie odwiedzał artystę wyrosły z amatorskiego ruchu Stanisław Para, grafik, autor ekslibrysów.

H. Gwizdała na salonowych spotkaniach okraszonych napojami wyskokowymi brylował intelektem, fantazją i bogactwem tworów frazeologicznych, jakby świadomie kolorytu nadawał szarej, peerelowskiej rzeczywistości.

Z tych swoistych zaświatów powracał, gdy malował. Wówczas obowiązywała trzeźwość i jasność umysłu. Jego obrazy utrzymują klasyczny kanon we wszystkim. Tematy, elementy warsztatu, układy kompozycyjne. Kreowane przez niego pejzaże przybierają format barwnej baśni w zestawieniu z szarą codziennością. Jego Zielona Góra staje się miastem z kolorowego snu. Malował też martwe natury z przedmiotami z otoczenia. Na zamówienie robił portrety. Przyjaciół malował gratis.

Autoportrety są jak reportaż dokumentalny. Z przystojnego hiszpańskiego granda w dostojnego patriarchę za sprawą głębokich bruzd na twarzy i gęstej brody. Ostatni autoportret namalował w Domu Kombatanta. Schorowany tęsknił za malowaniem. Mówił: „Muszę malować, aby się zadręczyć i w tym zadręczeniu zapomnieć się".

Anna Sulima-Jagiełowicz

Piętnaście wejść na podium mistrzostw świata

Urodziłam się w 22 kwietnia 1969 roku w Barlinku. Do ukończenia podstawówki mieszkałam w Myśliborzu, w bloku na Osiedlu XX-lecia, z rodzicami, siostrą i bratem. Miasteczko, otoczone lasami, leży nad malowniczym Jeziorem Myśliborskim. Tam chodziłam do Szkoły Podstawowej nr 2 im. Janusza Kusocińskiego. Przy szkole w 1977 r. powstała kryta pływalnia, jedyna taka w Myśliborzu. Od pierwszej klasy nauczyciele wychowania fizycznego uczyli nas pływać. Należałam do wyróżniających się pływaczek, dlatego zostałam przeniesiona do klasy sportowej, którą opiekował się międzyszkolny klub Szkuner. Pierwszym moim trenerem, opiekunem i wspaniałym nauczycielem był Leszek Lastowski i z pewnością miał wpływ na to, że dużo osiągnęłam w sporcie. Uczył nie tylko tego, co wynikało z programu nauczania, ale i uczył, jak sobie radzić w życiu. Zdarzało się zimą, że w szkole brakowało opału, wtedy basen był nieczynny, co nie oznaczało, że uczniowie klasy sportowej mają wolne. Wtedy pan Lastowski prowadził nas do lasu na zajęcia rekreacyjne i w pewnej mierze przyrodnicze. Nie tylko tam przekonywał, że każdy, kto chce osiągnąć coś znaczącego, powinien dużo pracować, ale choćby nie widomo ile włożył wysiłku, nie ma na to szansy w Myśliborzu. Miasto jest za małe, leży na uboczu, skąd wszędzie daleko.

W monografii szkoły wydanej z okazji jej 45-lecia znalazłam takie zdanie: „Do najlepszych pływaków należeli: Anna Sulima, Mariola Boroń, Joanna Tomska, Iwona Brzezińska, Joanna Kirczyńska, Renata Przyłucka, Iwona Adamczewska, Jan Balcerowski, Jerzy Balcerowski, Dariusz Mejsner, Robert Tomski, Janusz Szpit, Marek Kisły, Tomek Wiernicki, Jarek Szymański, Jarek Tomczak". I zaraz po nim przeczytałam informację: „Trudności finansowe i organizacyjne, brak środków na działalność szkoły o profilu sportowym powoduje, iż w latach 1983-84 funkcjonowanie klas sportowych zostaje zawieszone, a basen na kilka miesięcy zamknięty. Po tym trudnym dla sportu pływackiego okresie uprzedni stan organizacyjny nie został nigdy powtórzony. Na bazie klas sportowych powołano sekcję trójboju nowoczesnego (...) Oprócz pływania młodzi sportowcy trenowali bieg przełajowy i strzelanie. Jednym z największych sukcesów było przekazanie w latach 1985-86 sześciu zawodników do Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Drzonkowie. Byli to: Anna Sulima, Joanna Tomska, Mariola Boroń, Iwona Brzezińska, Darek Mejsner, Jarosław Szymański – uczestnicy i medaliści ogólnopolskich spartakiad młodzieży szkolnej".

Byłam uparta, miałam silną wolę i to sprawiło, że należałam do czołowych zawodniczek w kraju i z biegiem lat na świecie.

Było troszkę inaczej niż napisali autorzy monografii. Owszem, szkoła skierowała naszą szóstkę do Drzonkowa, jednego z najlepszych ośrodków pięcioboju nowoczesnego, co nie oznaczało, że automatycznie wszyscy mogli zostać uczniami wymarzonej SMS. Swoje umiejętności sportowe jeszcze trzeba było potwierdzić podczas egzaminu. Kandydatów do szkoły było niemało, więc przyjmowano jedynie tych najbardziej utalentowanych, którzy osiągnęli najlepsze wyniki. Nie obawiałam się egzaminu z biegania. Trudniej mi poszło pływanie. Mimo że zrobiłam życiówkę, okazało się, że troszkę za mało, żeby dostać się do szkoły, a ja bardzo chciałam do Drzonkowa. Przyznaję się, że wtedy za podpowiedzią pana Lastowskiego oszukałam komisję. Powiedziałam, że podczas egzaminu z pływania nie czułam się najlepiej i zaraz dodałam, że w przeszłości osiągałam wyniki lepsze niż ten na egzaminie do SMS.

Dom rodzinny opuściłam jako piętnastolatka w 1985 r. Zamieszkałam w internacie, w pokoju trzyosobowym. Moja cudowna mama wysyłała listy i odwiedzała mnie, kiedy tylko mogła. Naszą korespondencją zachowałam jak najwspanialszą pamiątkę z tamtych lat. Potem, kiedy już byłam reprezentantką Polski, mieszkałam w pokoju dwuosobowym, w segmencie z Barbarą Kotowską i Dorotą Nowak-Idzi, ale dziewczyny miały pokoje jednoosobowe jako utytułowane pięcioboistki. A później i dostałam jedyneczkę, co było formą najwyższego wyróżnienia ze strony klubu.

W trakcie pobytu w SMS w Drzonkowie uczęszczałam do Liceum Ogólnokształcącego nr 7 w Zielonej Górze. Z nauką było różnie, jednak nauczyciele wykazywali się ogromną wyrozumiałością wobec nas sportowców. Jako czynna pięcioboistka ukończyłam pięcioletnie studia zaoczne w Instytucie Kultury Fizycznej na Uniwersytecie Szczecińskim. I znowu muszę przywołać Leszka Lastowskiego, który nie pozwalał mi nawet przez chwilę pomyśleć o przerwaniu studiów. Musiałam więc łączyć naukę z treningami, co nie było łatwe. I znowu, jak w zielonogórskim liceum, wykładowcy i egzaminatorzy na uniwersytecie byli życzliwymi ludźmi.

Najważniejszym zadaniem sportowców, oprócz nauki, było trenowanie pod kątem pięcioboju nowoczesnego. W tym miejscu pozwolę sobie wyjaśnić, że wbrew często słyszanym zdaniom, nie jest prawdą, jakoby pięciobój nowoczesny narodził się niedawno. Ma już ponad wiek, a opracował go jako dyscyplinę sportową twórca nowożytnego ruchu olimpijskiego Pierre de Coubertin. Wzorem był pięciobój antyczny, który łączył niezbędne umiejętności żołnierskie. Dyscypliną olimpijską stał się w 1912 r. w Sztokholmie, ale tylko dla mężczyzn. Kobiety pięcioboistki po raz pierwszy mogły wziąć udział w igrzyskach olimpijskich w Sydney dopiero w 2000 r. W Polsce pierwsze zawody z udziałem pięcioboistów odbyły się w 1922 r. Polski Związek Pięcioboju Nowoczesnego powstał w 1957 r. Pięciobój w Zielonej Górze zaczął się w 1973 r. od sekcji Lubuskiego Klubu

fot. Archiwum autorki

Anna Sulima-Jagiełowicz – w latach 1998-2000 reprezentantka Polski w pięcioboju nowoczesnym: indywidualna mistrzyni świata – Meksyk 1998; w drużynie – Warszawa 1988, Wiener Neustadt 1989, Linköping 1990, Sydney 1991, Budapeszt 1992, Bazylea 1995, Meksyk 1998 i Pesaro 2000, w sztafecie – Sydney 1991 i Pesaro 2000; brązowa medalistka mistrzostw Europy – Sofia 1991, w drużynie pierwsze miejsce na mistrzostwach Europy – Modena 1989, Berlin 1995 i Moskwa 1997; zwyciężczyni Pucharu Świata w 1991; wicemistrzyni Polski – 1988, 1990 i 1994, trzecie miejsce podczas mistrzostw Polski – 1989, 1991, 1996 i 1998.
Od 2001 r. pracuje w Wojewódzkim Ośrodku Sportu i Rekreacji w Zielonej Górze–Drzonkowie, gdzie jest zastępczynią dyrektora.

Lekkoatletycznego „Lumel". Jego organizatorem był Zbigniew Majewski, znany bardziej jako Szeryf, odkrywca wielu talentów lekkoatletycznych, pomysłodawca, twórca i pierwszy szef Ośrodka Pięcioboju Nowoczesnego i Jeździectwa LKS „Lumel", czyli obecnego Wojewódzkiego Ośrodka Sportu i Rekreacji. Warto dodać, że w latach 1985-1995 w Drzonkowie był oddział Centralnego Ośrodka Sportowego.

Mój tydzień treningowy

jako pięcioboistki w Drzonkowie zaczynał się w poniedziałek rano od pływania. W każdym tygodniu było po półtorej godziny zajęć na małym basenie, a w sezonie letnim na pływalni odkrytej, gdzie niejednokrotnie woda była lodowata. Treningi pływackie odbywały się sześć razy w tygodniu. Poza nimi po trzy, cztery treningi tygodniowo na planszy szermierczej i jeszcze na koniu. Zajęcia strzeleckie odbywały się każdego dnia na strzelnicy. Piątą konkurencją było bieganie przełajowe, pięć razy w tygodniu, po 12-15 kilometrów w terenie zalesionym. Tak było wtedy, kiedy zaczynałam przygodę z pięciobojem. Obecnie jest troszkę inaczej, ponieważ bieg został połączony ze strzelaniem na zasadzie biathlonu, odbywa się na płaskim terenie i jest przerywany strzelaniem już nie kulowym czy pneumatycznym, a laserowym. Jak twierdzą zawodnicy, jest to strzelanie na zmęczeniu. Od dnia, kiedy zaczęłam uprawiać pięciobój nowoczesny, było kilka zmian zasad uprawiania tej dyscypliny. Ostatnio definitywnie wycofano jazdę konną, którą zastąpiono torem przeszkód, co zdaniem władz międzynarodowych będzie bardziej widowiskowe, dostępne dla większej ilości krajów, mniej kosztowne i humanitarne w stosunku do koni. Chodzi również o to, żeby jeszcze bardziej uatrakcyjnić tę dyscyplinę pod względem widowiskowym.

Kiedyś zawody pięciobojowe były rozgrywane przez kilka dni. W ostatnich latach mojej kariery, tak jak obecnie trwają jeden dzień. Konkurencje są tak dobrane, że stanowią przeciwieństwo. Proszę sobie wyobrazić pięcioboistkę, która zaczynała od strzelania, gdzie musiała być wyciszona i wręcz flegmatyczna, by stanąć na planszy szermierczej, gdzie musiała być szybka, pobudzona i dynamiczna. Szermierka to walka na szpady każdej zawodniczki z każdą do jednego trafienia, trwa do minuty. Jeżeli żadna w tym czasie nie zada trafienia, to obie zawodniczki nie zdobywają punktów.

Szermierka była moją ulubioną konkurencją. Nie lubiłam jazdy konnej, na wynik której jako zawodniczka nie zawsze miałam wpływ, a to dlatego, że dosiadałam konia wylosowanego. Wprawdzie regulamin pozwalał na dwudziestominutowe zapoznanie się jeźdźca z koniem, ale to za mało, żeby poznać jego charakter. Można było wylosować „mercedesa" lub „trupka". Jako pięcioboistka na koniu musiałam pokonać 12 przeszkód, w tym jedną podwójną i jedną potrójną, czyli razem z koniem wykonać 15 skoków. Wysokość przeszkód to 1,2 metra. Trzecią konkurencją było pływanie – 200 metrów stylem dowolnym na basenie o wymiarach olimpijskich, czyli cztery długości pływalni. Jak już napisałam, obecnie strzelanie zostało połączone z biegiem i nazywa się laser run. Na początku mojej kariery zawodniczej było ono osobną konkurencją pięciobojową. Zawodniczka brała do ręki pistolet, było to strzelanie dynamiczne: trzy sekundy po otworzeniu się tarczy należało podnieść rękę, która była ustawiona w dole pod kątem 60 stopni i oddać strzał. Zawodniczka miała na to czas do siódmej sekundy. Trzeba było oddać pięć strzałów z odległości 25 metrów w czterech seriach. Kiedy zaczynałam karierę, strzelałam z pistoletu

kulowego, potem z pneumatycznego, obecnie jest to pistolet laserowy. Spośród wszystkich konkurencji najbardziej lubiłam bieg przełajowy. Na początku mojej przygody z pięciobojem dystans do pokonania wynosił 2 kilometry, potem 3, znowu 2 i obecnie 3. Zawodniczka ma do pokonania dystans pięć razy po 600 metrów i strzelanie cztery razy (wbiega na strzelnicę, strzela, biegnie, tak cztery razy). Te dwie ostatnie konkurencje przypominają biathlon, obecnie konkurencja nazywa się laser run, zawsze odbywa się jako ostatnia podczas zawodów.

W pięcioboju nowoczesnym wszystkie wyniki uzyskane w każdej konkurencji są przeliczane na punkty. Wygrywa ta zawodniczka, która wbiega na metę pierwsza. Obecnie pięciobój jest bardzo czytelny.

Na sukces zawodnika

składa się praca, praca i jeszcze raz praca, czyli codzienne treningi, determinacja, samodyscyplina i przede wszystkim dążenie do osiągnięcia celu. Nie raz słyszałam, że nie nadaję się do pięcioboju, że powinnam zająć się czymś innym. Byłam uparta, miałam silną wolę i to sprawiło, że należałam do czołowych zawodniczek w kraju i z biegiem lat na świecie. Pierwsze poważne starty odbyłam 1986 r. Wspominam je jako lekcje pokory i swego rodzaju motywatory do dalszej pracy. Ode mnie zależało najwięcej, ale i wiele od trenerów, przed którymi chylę głowę. Szermierkę doskonaliłam pod okiem Romana Korsaka, Marka Bajana i Dariusza Rogalskiego. Strzelania uczył mnie Czesław Poźniak. Nielubianą przeze mnie jazdę konną miałam z Tomaszem Kowalą i Edwardem Kowalikiem. Trenerami biegów byli Jan Szlachta i Ireneusz Dalecki. Pływałam pod okiem Piotra Maciaszczyka i Józefa Rutkowskiego. Jestem bardzo im wdzięczna za wszystko, czego mnie nauczyli, a przede wszystkim za cierpliwość, wspieranie i umiejętność przekazywania wiedzy. Także za to, że z każdym treningiem stawałam się coraz mocniejsza. Miejsce na podium przestało być nieosiągalne.

Na pierwsze naprawdę poważne zawody pojechałam do Szwecji, to był Nordic Cup w 1986 r. Zajęłam pierwsze miejsce, a za rywalki miałam krajowe koleżanki i najlepsze pięcioboistki z zagranicy, wśród nich były mistrzynie kontynentów i świata. Ten sukces utwierdził mnie w przekonaniu, że mogę być czołową zawodniczką, tylko muszę jeszcze więcej pracować. Potem zwyciężałam na mistrzostwach Francji, Włoch i Niemiec. W 1988 r. z numerem pierwszym reprezentowałam Polskę na mistrzostwach świata.

Moja kariera jako pięcioboistki trwała osiemnaście lat z przerwą na triathlon, o czym za chwilę. W pamięci mam prawie wszystkie starty, jednak najbardziej, wręcz z detalami, zapamiętałam te pierwsze. Na przykład Węgry. Przed wyjazdem dostałam nowe, pierwsze w moim życiu buty firmy Adidas. Byłam nimi tak zachwycona, że brałam je łóżka i z nimi spałam. Szwecję zapamiętałam z powodu żelków i maskotki. Przed wyjazdem postanowiłam, że jak tylko dotrę na miejsce i dostanę kieszonkowe, to kupię żelki i maskotkę.

Największe sukcesy

Odniosłam w 1998 r. w Meksyku. Tam zostałam indywidualną mistrzynią świata. W drużynie z Pauliną Boenisz i Dorotą Nowak-Idzi zdobyłam złoty medal. Trzeci złoty medal zdobyłam w sztafecie z Dorotą Nowak-Idzi i Iwoną Kowalewską. Na podium mistrzostw świata stawałam piętnaście razy, ale tylko raz indywidualnie. Ponadto dziesięć razy z drużyną, w tym osiem razy na najwyższym stopniu, i cztery razy jako uczestniczka sztafety, w tym trzy razy na najwyższym stopniu.

Moim celem jak każdego sportowca był udział w igrzyskach olimpijskich. Kobiecy pięciobój jako dyscyplina olimpijska pojawił się w programie igrzysk dopiero w 2000 r. w Sydney. W kwalifikacjach do igrzysk razem z Dorotą Nowak-Idzi i Pauliną Boenisz byłam najwyżej na światowej liście rankingowej, mimo to nie pojechałam do Australii. Nie pojechałam, ponieważ zdecydowano, że dany kraj mogą reprezentować tylko dwie pięcioboistki. Polskie władze sportowe zdecydowały, że do Sydney pojadą Dorota i Paulina. Ja, chociaż dostałam sprzęt i to, co jest potrzebne olimpijce, zostałam w domu. Przyznaję się, że byłam z tego powodu wkurzona i zniechęcona. Może zajęłabym trzecie miejsce, a może wróciłabym z Sydney ze złotym medalem olimpijskim? Na pewno dałabym z siebie wszystko.

A teraz o triathlonie. W 1992 r. poczułam się trochę zmęczona pięciobojem. Już wcześniej próbowałam swoich sił w triathlonie, o czym wiedział prezes związku Zbigniew Pacelt. Powiedziałam mu, że chciałabym zająć się triathlonem, ale on nie dawał zgody. W końcu uległ i wtedy zasugerował, abym wzięła roczny urlop od pięcioboju. Triathlon, czyli pływanie, jazda na rowerze i bieganie, bardzo mi się podobał, a ponieważ jako pięcioboistka nieźle radziłam sobie z bieganiem i pływaniem, byłam pewna sukcesu w tej dyscyplinie. Tym bardziej że podczas treningu pięciobojowego zostałam mistrzynią Polski w triathlonie na dystansie olimpijskim (1,5 km pływania, 40 km jazdy na rowerze, 10 km biegu). Jako triathlonista wygrywałam zawody w kraju. W 1993 r. wystartowałam nawet w mistrzostwach Europy. Nie mam czym się chwalić, byłam chyba przedostatnia. To mnie przekonało, że zostałam stworzona do pięcioboju nowoczesnego. Zdobyłam jeszcze wiele medali i tytułów jako pięcioboistka.

Po igrzyskach w Sydney

na które bardzo chciałam jechać, ale nie zostałam posłana, w 2000 r. postanowiłam zakończyć karierę sportową. Pragnęłam założyć rodzinę, mieć dziecko.

Wyszłam za mąż za Andrzeja Jagiełowicza. A poznaliśmy się trochę przypadkowo. Jako kandydatka na triathlonistkę poprosiłam trenera Kazimierza Prokopyszyna z zielonogórskiego klubu kolarskiego LKS „Trasa" o możliwość trenowania z profesjonalnymi kolarzami. Zaczęło się od naprawiania rowerów i pomocy podczas treningów, bo na płaskim terenie jeszcze koło trzymałam, jak mówią kolarze, ale już nie pod górkę. Wtedy przychodził mi z pomocą Andrzej, podpychając i jednocześnie dodając mocy.

I tak zostałam żoną Andrzeja. Parę lat później urodziła się nasza wspaniała córka Wiktoria, która jest moim największym przyjacielem i której wiele zawdzięczam. Na Wiktorię mogę liczyć nie tylko wtedy, gdy jest łatwo, ale przede wszystkim wtedy, gdy jest trudno. Wiktoria nauczyła mnie lepiej rozumieć drugiego człowieka.

Doroczna Gala Kultury z honorowymi zaszczytami i nagrodą literacką Winiarka

Na tytuły Przyjaciela Zielonej Góry zasłużyli dr Andrzej Buck i firma EB-F Development. Zielonogórską Nagrodą Literacką „Winiarka" zostali wyróżnieni Igor Myszkiewicz i wydawnictwo Organon.

O tym, że doroczne wydarzenie, przygotowane przez nasze stowarzyszenie 30 października 2025 roku, było naprawdę ważne, świadczy Sala Witrażowa w Muzeum Ziemi Lubuskiej pełna członków TMZG„W", co nie dziwi, lecz i wielu gości. Samorząd regionu reprezentowała członkini zarządu województwa Anna Chinalska. Z Gorzowa przyjechał wojewoda lubuski Marek Cebula. Wysłannikiem prezydenta miasta był Jarosław Skorulski, naczelnik Wydziału Oświaty, Kultury i Sportu.

Tego popołudnia kilka osób i instytucji otrzymało wyróżnienia i nagrody przyznane przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, sejmik lubuski i komisje powołane przez nasze stowarzyszenie. Odznaki honorowe Zasłużony dla Kultury Polskiej otrzymali: Bożena Cajdler-Gruszkiewicz – absolwentka Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, od 1965 r. mieszkająca i tworząca w Zielonej Górze artystka plastyczka (patrz s. 38 i 39), i Przemysław Piotrowski – absolwent Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielonogórzanin od urodzenia, autor bestselerowych powieści kryminalnych. Odznakami Honorowymi za Zasługi dla Województwa Lubuskiego zostali wyróżnieni: Bogdan Idzikowski – emerytowany profesor UZ, który wypromował ponad 400 osób w zakresie animacji kultury na studiach licencjackich, magisterskich, podyplomowych i doktorskich, wybitny znawca kultury w regionie lubuskim, ekspert, autor licznych publikacji, i Tomasz Kowalski – historyk, absolwent UZ, autor artykułów naukowych i popularnonaukowych dotyczących ikonografii Zielonej Góry oraz winiarstwa na Ziemi Lubuskiej, aktor kabaretowy w zespołach Drugi Garnitur, Formacja ŻŻŻŻ i od 30 lat Ciach, pracujący w Muzeum Ziemi Lubuskiej.

W MZL również pracuje Igor Myszkiewicz, także absolwent UZ, ale w zakresie sztuki i kultury plastycznej. Podczas gali otrzymał Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka". Uzasadniając jej przyznanie, dr Alina Polak-Woźniak powiedziała, że I. Myszkiewicz od 20 lat opowiada historię Zielonej Góry. – To artysta, który nie zamyka się w jednej dziedzinie. Pisze o Zielonej Górze i sam ilustruje swoje książki. To strażnik pamięci o Zielonej Górze – podkreśliła. I. Myszkiewicz jest autorem między innymi takich książek, jak „O czarownicy i potworze. Zielonogórskie procesy o czary", „Obrazki z dziejów Zielonej Góry", „Maszyna snów", „Krew Bachusa", „Paprochy historii. Zielonogórskie podróże w czasie", „Signum

fot. Roman Czarnecki i Jarosław Wnorowski

Igor Myszkiewicz został laureatem Zielonogórskiej Nagrody Literackiej „Winiarka"

Godność Przyjaciela Zielonej Góry otrzymał dr Andrzej Buck

temporis. Zielonogórskie pomniki i rzeźby plenerowe". Tworzy komiksy, plakaty, opracowuje graficznie książki. Prowadzi Galerię Twórców „Galera".

Zbiorową Winiarką zostało uhonorowane jedno z najstarszych wydawnictw książkowych w Zielonej Górze – Organon. Założył je Zbigniew Rybczyński w 1995 r. Dotychczas wydało blisko 300 książek poetów i prozaików, głównie zielonogórskich, ale i np. Urszuli Benki z Wrocławia. W wydawnictwie wyszły wspomnienia pilota Edwarda Jaworskiego. Organon ogłosił pracę Kazimierza Nowika „Wielkopolanie w walce o niepodległość 1918-1920". Opublikował rozprawę Zbysława Dobrowolskiego i Waldemara Sługockiego „Wokół współczesności. Politologia, Prawo, Ekonomia". Książki wydawnictwa były nominowane do Lubuskich Wawrzynów. Winiarka istnieje od 2015 r.

Wojewoda Marek Cebula udekorował Przemysława Piotrowskiego odznaką Zasłużony dla Kultury Polskiej

Od 2021 r. stowarzyszenie przyznaje tytuł Przyjaciela Zielonej Góry. Otrzymał go dr Andrzej Buck. Urodził się w Gnieźnie, studiował filologię polską w Zielonej Górze, gdzie mieszka i pracuje jako dyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej. Był zastępcą dyrektora biblioteki Wyższej Szkoły Pedagogicznej, redaktorem naczelnym „Gazety Nowej", kierownikiem literackim i dyrektorem Lubuskiego Teatru, prowadził wydawnictwo książkowe. Zajmuje się krytyką teatralną i historią prasy.

Zbiorową godnością Przyjaciela Zielonej Góry została wyróżniona firma rodzinna Elżbiety i Leszka Jarząbków EB-F Development. Powstała w 1990 r. jako przedsiębiorstwo budowlane Ekonbud-Fadom. Zajmuje się budową domów i budynków mieszkalnych na zlecenie osób prywatnych, towarzystw budownictwa społecznego, spółdzielni mieszkalnych i samorządów lokalnych głównie w Zielonej Górze, także w Poznaniu i Szczecinie. Postawiła około 15 tys. mieszkań. Otrzymała m.in. takie tytuły: Mister Budownictwa, Lubuski Mister Budowy, Kielnia Lubuska. Firma wspiera stowarzyszenia finansowo Warto jest Pomagać i Ludzie dla Ludzi Mecenat Złotego Serca, udziela pomocy Hospicjum im. Lady Ryder of Warsaw, pomaga sportowcom oraz klubom Nafta, Piastowskie i Junior. Mottem jej działania jest: „Z pasją i profesjonalizmem, łącząc doświadczenie i nowoczesność, budujemy twoje marzenia, twój nowy dom".

Ewa Dura zwyciężyła w konkursie na pracę literacką o tematyce zielonogórskiej

Od 11 lat TMZG„W" organizuje ogólnopolski konkurs literacki o tematyce zielonogórskiej. W 2025 r. komisja konkursowa zapoznała się z pracami 24 autorów, m.in. z Lubina, Legnicy, Wrocławia, Warszawy, Gdyni, Zielonej Góry. Główną nagrodę komisja przyznała Ewie Durze z Zielonej Góry za opowiadanie dla młodych czytelników „Miasto misi" (czyt. s. 17-20). Nominacje otrzymali: Halinka Bohuta-Stąpel z Wilkanowa koło Zielonej Góry i Zbigniew Woźniak z Wojnowic w powiecie raciborskim. Główna nagroda to opublikowanie książki zwyciężczyni w 2026 r. W 2024 r. konkurs wygrała praca Ewy Wierzbickiej ze Stalowej Woli. Podczas gali odbyła się premiera powieści „Bez światłocienia" (czyt. s. 22).

Wszyscy laureaci otrzymali dyplomy i statuetki wykonane przez artystę rzeźbiarza Roberta Tomaka. Wyróżnionym tytułem Przyjaciela Zielonej Góry artystka plastyczka Izabela Sak wręczyła prywatne nagrody – grafiki.

Gospodarzem gali był prezes stowarzyszenia Ryszard Błażyński, a prowadzącym je śpiewająco Aleksander Nowak. Towarzyszyły mu śpiewające studentki Instytutu Muzyki UZ Jagoda Ambroziak i Aleksandra Komisarek.

AS

1,5%

PRZEKAŻ 1,5 PROCENT

Każdy może wesprzeć **Towarzystwo Miłosników Zielonej Góry „Winnica"**, przekazując 1,5% podatku podatku za 2025 r. za pośrednictwem Związku Lubuskich Organizacji Pozarządowych. W składanym do końca kwietnia br. zeznaniu podatkowym w rubryce 172, gdzie jest pytanie o numer KRS, proszę wpisać **0000169865**, w rubryce 173 – podać wyliczoną kwotę i w rubryce 175 Cel szczególny – wpisać nazwę naszego stowarzyszenia.

Od jesieni do wiosny

Towarzystwo kontynuuje cykl spotkań „Rozmowy o Zielonej Górze", rozpoczęty w 2022 r. przy okazji 800-lecia miasta w Muzeum Ziemi Lubuskiej, rok później przeniesiony do biblioteki Norwida. W nowym roku „rozmowowym" cykl zainaugurowało spotkanie z dr Hanną Kurowską i dr Małgorzatą Szymczak z Uniwersytetu Zielonogórskiego. Historyczki mówiły o kwestiach sanitarnych w mieście. Potem było o znanych Zielonogórzankach i oświacie powojennej, szczególnie o podstawówce nr 1, najstarszej szkole w mieście. Pierwszym w 2026 r. było spotkanie z profesorami Zbigniewem Bujkiewiczem i Tomaszem Nodzyńskim, którzy rozmawiali o mieszkańcach Winnego Grodu na przełomie XIX i XX wieku.

28 listopada ub. r. podczas Gali Literackiej, zorganizowanej przez zielonogórski oddział Związku Literatów Polskich, Aldona Reich otrzymała Brązowy Krzyż Zasługi i odznakę honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej. W 2025 r. na podstawie powieści Zielonogórzanki „Erem", otwierającym serię z podinspektorem Witoldem Daraszem zdegradowanym do stopnia aspiranta (wyd. Labreto 2025), powstał siedmioodcinkowy audioserial. To pierwsza książka twórcy z Zielonej Góry – oprócz wydania na papierze, jako e-book i audiobook – zrealizowana w ten sposób, z udziałem 20 wykonawców, w reżyserii Aleksandra Orsztynowicza-Czyża. W lutym 2026 r. poznańskie wydawnictwo Labreto wydało powieści „Polifen" (268 s.), będącą drugą częścią cyklu z podkomisarzem Daraszem, i „Walentynki last minute" (248 s.). Ta ostatnia ukazała się jako e-book i audiobook w interpretacji A. Orsztynowicza-Czyża (368 min. słuchania).

Jesienią 2025 r. artystka plastyczka, absolwentka Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Bożena Cajdler-Gruszkiewicz świętowała 60-lecie pracy twórczej. Z tej okazji w galerii Pro Arte odbyła się wystawa jej prac. Artystka jest Zielonogórzanką od 1966 r. (czyt. s. 39).

Podczas Zielonogórskiego Kongresu Kultury, 14 listopada 2025 r., w Planetarium Wenus pokazano prace artystów plastyków – Honorowych Obywateli Zielonej Góry. Wśród nich były prezentowane akwarele Adama Bagińskiego.

Jesienią 2025 r. Przemysław Piotrowski świętował 10-lecie pracy literackiej. Z tej okazji 9 października w bibliotece Norwida odbył się benefis pisarza. Do sali im. Janusza Koniusza przyszło więcej czytelników, niż było miejsc siedzących. Benefis był połączony z promocją powieści „Fetysz" (362 s.), wydanej przez warszawskie wydawnictwo Czarna Owca. To ósma część serii z komisarzem Igorem Brudnym. Jej akcja dzieje się podczas Winobrania w Zielonej Górze. Oprócz wydania papierowego powieść ukazała się jako audiobook, który czyta Filip Kosior (498 min.) i jako e-book. 3 listopada miało premierę słuchowisko „Komisarz Brudny", zrealizowane na podstawie powieści Zielonogórzanina, adaptacja i reżyseria Jan Hussakowski, w rolach głównych Michał Czernecki, Anna Dereszowska i Marcin Perchuć oraz 22 innych wykonawców. Producent podaje, że jest to „Pełnowymiarowa adaptacja z bogatą scenografią dźwiękową, muzyką i dźwiękiem przestrzennym". Czas trwania – 252 min.

W warszawskim wydawnictwie Anagram ukazał się zbiór wierszy „Seans spirytystyczny" dr. Roberta Rudiaka (92 s.). Jak pisze we wstępie dr Urszula Benka, to „niezwykle dramatyczny i poruszający zapis intymnego dialogu z utraconą matką. (...) Bogactwo języka oraz wielowarstwowa symbolika sprawiają, że każdy wers staje się osobistym, sakralnym przeżyciem".

Krakowskie wydawnictwo Universitas opublikowało pracę Zielonogórzanki prof. dr hab. Małgorzaty Mikołajczak „Tropy topografii. W kręgu literatury osadniczej i postosadniczej" (328 s.). Rzecz ukazała się w serii Nowy regionalizm w badaniach literackich. Książka jest zbiorem artykułów, powstałych w ciągu 15 lat zajmowania się tym problemem przez autorkę. Z jej inicjatywy w 2010 r. powstała pracownia badań regionalnych na UZ. Za tę książkę Zielonogórzanka otrzymała Lubuski Wawrzyn Naukowy 2025.

W krakowskim wydawnictwie Avalon ukazała się książka prof. dr. hab. Czesława Osękowskiego „80 lat pogranicza polsko-niemieckiego po II wojnie światowej (1945-2025)". (160 s.). „Prezentowana praca nie ma wyłącznie naukowego charakteru i celu – pisze wydawca – a jej autor stara się nie narzucać czytelnikowi swojego sposobu myślenia o pograniczu polsko-niemieckim jako zmieniającej się przez kolejne dziesięciolecia przestrzeni".

Marek Jurgoński opublikował „Zieloną Górę fraszkami utkaną. 1181 ulic – z każdej ulicy fraszka". Tytuł wyjaśnia, o czym jest ta książka. Rzecz ukazała się w wersji elektronicznej. (Kilka fraszek z tego zbiorku jest na str. 21.)

W zielonogórskim wydawnictwie Manufaktura Tekstów wyszła powieść s-f „Algorytm" Krzysztofa Koziołka (324 s.). Książka ukazała się także jako audiobook w interpretacji Wojciecha Masiaka (462 min.).

Wydawnictwo E-bookowo wydało powieść współczesną Alfreda Siateckiego „Pensjonat pod Sosnami" z akcją zaczynającą się w niemieckim Lipsku i przeniesioną do regionu zielonogórskiego. Zdaniem wydawcy „Alfred Siatecki w typowy dla siebie sposób demaskuje ludzkie słabości, przywary i pobudki. Doskonale nakreśla charaktery postaci, stawiając swoich bohaterów w obliczu trudnych, choć pozornie zwykłych, codziennych sytuacji". Powieść ukazała się na papierze, jako PDF i e-book.

Zarząd naszego stowarzyszenia podniósł składkę członkowską. Od 1 stycznia 2026 r. składka wynosi 100 zł rocznie dla pracujących. Uczniowie, studenci, emeryci i renciści płacą po 50 zł.

Hilary Gwizdała, 1985, olej

Klem Felchnerowski, 1985, olej

Ewa Łasowska, 1992, olej

W intymnym świecie malarstwa Bożeny Cajdler-Gruszkiewicz

Urodzona w 1941 r. w Kaliszu. Uprawia malarstwo sztalugowe i rysunek. W 1965 r. ukończyła studia na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, uzyskując dyplom w pracowni prof. Stanisława Borysowskiego. Od 1965 r. związana z Zieloną Górą i miejscowym środowiskiem artystycznym.

Podwójny portret Helenki, 2021, olej

Biały bukiet, 2000, olej

Portret wędkarza, 1995, olej

Zimowy portret, 1999, olej

Impresja zielonogórska, 2009, olej

Grünberg jest w niemieckiej Hesji

Grünberg (89 km kw., ok. 14 tys. mieszkańców) leży powiecie Giessen. Jego początki sięgają końca XII wieku. 30 maja 1222 roku otrzymało prawa miejskie od landgrafa Turyngii Ludwika IV Świętego. To czyni je jedną z najwcześniej udokumentowanych miejskich lokacji na terenie Hesji w Niemczech.

Widok na miasto. W środku Wieża Złodziei.

Już w średniowieczu posiadało mury miejskie, obiekty sakralne oraz rozbudowaną strukturę targową, z których część zachowała się do dziś, w tym charakterystyczna Wieża Złodziei wysoka na 25 m. Należała do dawnych fortyfikacji, pierwotnie służyła jako więzienie, a później jako wieża ciśnień. Historyczne centrum miasta wyróżnia się licznymi kolorowymi domami szachulcowymi z XV i XVI w., które tworzą jego charakterystyczny wygląd. Wąskie uliczki zachęcają do spacerów i odpoczynku wśród sklepików, kawiarni i restauracji. Do atrakcji turystycznych należą także imponujący renesansowy ratusz, dawna poczta – barokowy budynek z reprezentacyjnym hallem, trzy dawne klasztory, muzeum w budynku byłego szpitala, 30-metrowa studnia na rynku i stara kuźnia z pełnym wyposażeniem. Tuż obok znajduje się Dom Cechów, w którym starannie zaaranżowana wystawa prezentuje bogactwo dawnych zawodów – od fryzjerstwa po szewstwo – za pomocą oryginalnych eksponatów. Jako uznany kurort klimatyczny, Grünberg oferuje również doskonałe warunki do wypoczynku. Brunnental to malownicza dolina położona poniżej północno-wschodnich stoków Grünbergu, przez którą płynie strumień Äschersbach. Z głębokich szczelin bazaltowych wypływa tu krystalicznie czysta woda. Jest to jedno z ulubionych miejsc rekreacyjnych, gdzie można przebywać wśród natury, usłyszeć szum wody i śpiew ptaków oraz podziwiać bogactwo flory i fauny. Spacer czy jazda na rowerze spokojnymi terenami zielonymi oraz dobrze oznakowanymi trasami umożliwia kontakt z przyrodą, relaks i aktywny wypoczynek.

Rynek znajduje się na Szlaku Muru Pruskiego

Według zaginionej Kroniki Steinbacha również nasza Zielona Góra została założona 30 maja 1222 r. Data ta wynika z wielowiekowej tradycji, ale nie ma żadnych dokumentów, które by ją potwierdzały.

Zdjęcia zamieszczamy dzięki uprzejmości Erica Eppa z Urzędu Miasta Grünberg (Hessen).

AP-W

Najwyższy budynek w konstrukcji szkieletowej w mieście został zbudowany jako spichlerz klasztorny w XVI wieku. Potem został przekazany uniwersytetom w Marburgu i Giessen. Bywa nazywany Domem Stammlera.